

Powiat



Nr 7-8 (185-186), Lipiec-Sierpień 2016
Rok XVI * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Wszystkim się nie dogodzi

Mija nam lato

Pamięć ostrzega

„Białe Bociany 2016” rozdane

Słupski Nikifor

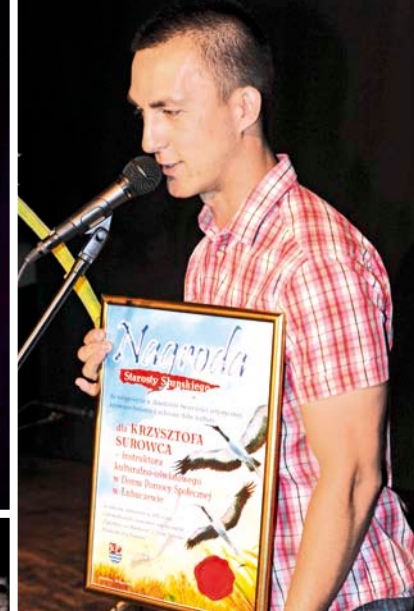
Znakomite koncerty

Saudek niemoralny

Kielce urzekają

Wieś Tworząca





GALA BIAŁEGO BOCIANA

KOBYLNICIA, LIPIEC 2016





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Obserwując działania stowarzyszeń dostrzegam w nich wielki potencjał i szansę na rozwój całego regionu. Grupa ludzi, która się zrzęszyła w Siemianicach i postawiła przed sobą cele, przyczynia się, o czym możemy przeczytać w bieżącym wydaniu biuletynu, do rozwoju transportu kolejowego w gminie Słupsk i Kobylnica. Przypomina mi się książka francuskiego myśliciela Alexis de Tocqueville, który w swoim największym dziele „O demokracji w Ameryce”, opisywał szybki rozwój amerykańskiego

społeczeństwa w XIX wieku. Jako Francuz był pod ogromnym wrażeniem działających w Ameryce stowarzyszeń. W Europie przyzwyczajony był do tego, że ludzie chcący zmienić coś w swoim otoczeniu kierowali się do władzy i „wypraszała” realizację swoich potrzeb. Jak zauważył, szybki rozwój Stanów Zjednoczonych Ameryki w XIX wieku spowodowany był tym, że Amerykanie zanim poprosili o cokolwiek władze lokalne czy centralne, najpierw zaczynali działać sami w ramach tzw. oddolnych inicjatyw. Nieustannie się stowa-

rzyszali, a cele jakie stawiali sobie stowarzyszenia dotyczyły w zasadzie każdej sfery życia od organizowania zabaw, wznoszenia kościołów po budowę szpitali, szkół lub głoszenia jakiejś teorii.

Tak właśnie było w przypadku Stowarzyszenia Pasażerów Kolejowych Siemianice. Młodzi ludzie skupieni wokół wspólnego celu potrafili poprzez oddolną inicjatywę wywierać na władzach kolejowych plany rozbudowy infrastruktury kolejowej w swoich gminach. Jeśli już jestem przy kolei to jest jeszcze inne stowarzyszenie, które również

nie boi się brać spraw w swoje ręce. Mam na myśli Słupską Powiatową Kolej Drezynową. Gdy w 1992 roku zawieszono ruch pociągów na trasie Korzybie-Bytów nastąpiła szybka dewastacja tego historycznego szlaku kolejowego. Grupa „zapaleńców” ochroniła go jednak przed dalszą dewastacją, a na wielu odcinkach nawet odbudowała tę linię kolejową.

Takich inicjatyw jest oczywiście więcej. Wszystkim mieszkańcom naszego powiatu życzę, aby było ich jeszcze więcej, i by pojawiały się w wielu sferach naszego życia.

W numerze:

- 2 Wyróżnienie za rodzicielstwo
- 2 Mistrzowie sportu
- 3 Sukces grupy teatralnej
- 3 Honorowi obywatele
- 4 Wystawy w starostwie
- 5 Będą nowe przystanki
- 6 Wszystkim się nie dogodzi



Rozmowa z Anną Sobczuk-Jodłowską – wójtem gminy Ustka:
– Bardzo mnie denerwuje, kiedy słyszę, że gmina nasza zaliczana jest do bogatych. Oczywiście nie ma powodów do narzekania i mówienia, że jest źle, ale dzisiaj wolalabym, gdyby mówiono o nas, że należymy do gmin całkiem nieźle sobie radzących.

- 8 Mija nam lato
Kolejne lato powoli odchodzi do historii. I nie byłoby w tym niczego



szczególnego, bo przecież tak uktada się kalendarz, tak mija nam życie i zapisuje się przeszłość.

10 Pamięć ostrzega



Festyn w Bronowie przypominał przybyłym licznie mieszkańcom o znaczeniu domu, o wielkości i mądrości rodziny, wspólnotowości lokalnej, o narodzie...

- 12 Ojczyzna kształty wszelakie
- 13 „Białe Bociany 2016” rozdane w Kobylnicy
Po raz czternasty wręczono „Białe Bociany”, nagrody starosty słupskiego,



przyznawane za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej oraz upowszechnianie i ochronę dóbr kultury.

16 Kaszubskie Śpiewanie

18 Słupski Nikifor



Powrót do wizji uproszczonej w patrzeniu na świat, oglądanie skróconego pierwszego planu i przenoszenie swoistej wrażliwości na tematy obrazów – tak ogólnie mówi się o twórcach obdarzonych

innym spostrzeganiem otoczenia.

20 Znakomite koncerty



Wirtuoz organów Bogdan Narloch oraz afrykański, szkolny chór chłopięcy Clifton College Boys Choir pod dyktando Gerard'a Di Toit wystąpił na inauguracji 34. Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w kościele pw. św. Jacka w Słupsku.

22 Saudek niemoralny?



Jan Saudek, czeski malarz, grafik i fotograf o światowej sławie

pokazać po raz pierwszy swoją twórczość w Polsce. Przyjechała prosto z Nowego Jorku.

23 Twórca z Zakopanego

26 Kielce urzekają



Na ziemi słupskiej, a szczególnie na słupskich wsiach, najwięcej pierwszych osadników po wojnie przybyło z obecnego województwa świętokrzyskiego. To im szczególnie poświęcam i przybliżam współczesne oblicze regionu i miasto Kielce.

27 Ogniomistrz Roman

28 Anna

30 Wspomnienia więźnia Józefa Grzeszczaka

34 Rak szlachetny – czy zdążymy?

36 Ostatni polski transatlantyk

38 Doświadczeni – nie straceni

39 OC, czego nie wiemy?

Wyróżnienie za rodzicielstwo

Powiat słupski został wyróżniony za wkład w rozwój rodzinnej opieki zastępczej oraz dobre realizowanie ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej.

Wyróżnienie takie, przyznawane przez Koalicję na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej, otrzymało trzynaście powiatów w Polsce. Uroczyste wręczenie plakiety odbyło się podczas Kongresu Rodzicielstwa Zastępczego w Minister-

stwie Rozwoju w Warszawie. W imieniu powiatu odebrała ją Urszula Dąbrowska - dyrektor Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku.

W powiecie słupskim funkcjonuje ponad 150 rodzin zastępczych, w których umieszczonych jest 260 dzieci. Szczególną dbałością otaczane są dzieci poniżej 10 roku życia, które zamiast do placówek opiekuńczo-wychowawczych trafiają do rodzin zastępczych, czego wymaga ustawa o

wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Taką politykę realizuje Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie i za to został powiat m.in. wyróżniony. Do palcówki opiekuńczo-wychowawczych kierowane są najmłodsze dzieci tylko w wyjątkowych sytuacjach, gdy występuje liczne rodzeństwo i nie powinno się go rozdzielać. (PL)



Mistrzowie sportu



Fot. J. Maziejuk

Klaudia Maruszewska z Ustki została mistrzynią świata juniorów w rzucie oszczepem, a Piotr Borowiec z Sycewic - mistrzem Europy w crossmintonie.

Klaudia Maruszewska jest kategoria roczną stypendystką starosty słupskiego otrzymała również nagrodę starosty za wyniki sportowe osiągnięte w 2015 roku. Uczy się w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce i reprezentuje Lekkoatletyczny Klub Sportowy Jantar Ustka.

Podczas Lekkoatletycznych Mistrzostw Świata Juniorów rozgrywanych w Bydgoszczy nie uznawano jej za faworytkę. Mimo to Klaudia

już w pierwszej serii rzuciła oszczepem 57,59 m. Ten wspaniały rzut, który jest jej nowym rekordem życiowym okazał się nie do pobicia dla pozostałych zawodniczek.

Piotr Borowiec zdobył tytuł mistrza Europy w kategorii KO 50, pokonując w finale innego Polaka - Bogdana Mieżyńskiego. W zeszłym roku został on mistrzem świata w Berlinie. Zawody rozegrano w miejscowości Gouesnou we Francji, a wyjazd zawodnika objął patronatem starosta słupski - Zdzisław Kołodziejski.

Crossminton to gra rakiętowa łącząca w sobie cechy tenisa, squasha i badmintonu. Jej szybki rozwój rozpoczął się

w Niemczech, a dzięki prostym zasadom i łatwemu dostępowi obecny jest już na wszystkich kontynentach. Główną zaletą dyscypliny jest brak wymagań co do boiska - grać można na każdym podłożu: trawie, piasku, śniegu, tartanie, w hali.

Do tych sukcesów sportowych należy dorzucić jeszcze piąte miejsce Agnieszki Kulak

z LKS Jantar w Ustce w rzucie dyskiem na Mistrzostwach Europy Juniorów Młodszych w Tibilisi. Rzuciła na odległość 46.09 m. - Był to bardzo dobry jej start - ocenia trener - Henryk Michalski. - Agnieszka w finale była waleczna i skuteczna. Osiągnęła najlepszy wynik w historii lekkoatletycznej Ustki w Mistrzostwach Europy. (ak/pl)



Sukces grupy teatralnej

Grupa teatralna „Epitetem po Metaforze” z Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie wyróżniona została tournée teatralnym za autorski spektakl pt. „Art Love Pop” na XIV Międzynarodowym Przeglądzie Teatrów Wspaniałych – Tczew 2016.

Przegląd odbył się w dniach od 6 do 10 czerwca br. w Centrum Kultury i Sztuki w Tczewie, a jego organizatorem było tamtejsze Stowarzyszenie na Rzecz Szkolnictwa Specjalnego. Wzięło w nim udział trzydzieści pięć zespołów teatralnych, m.in. z Polski, RPA, Gruzji, Rosji, Litwy, Włoch, Rosji, Ukrainy. Przegląd miał charakter konkursu, dlatego też specjalnie powołane jury złożone z twórców teatru skrupulatnie oceniali wykonawców podczas trzech dni prezentacji. Grupa „Epitetem po Metaforze” z Lubuczewa drugi raz wzięła udział w tym festiwalu i zyskała uznanie widzów oraz instruk-

torów z różnych państw poparte wyróżnieniem jury i nagrodą specjalną, którą otrzymały tylko trzy najlepsze zespoły.

Dwa występy specjalne zespołów z Lubuczewa, Gruzji i RPA odbyły się w Centrum Kultury w Gdyni oraz Filharmonii Kaszubskiej w Wejherowie. Aktorzy z Lubuczewa wzięli rów-

nież udział w koncercie gwiazdy muzyki pop Anny Wyszkonii, happeningu, warsztatach artystycznych, plastycznych i kulinarnych, modowo-fotograficznych, biesiadzie kaszubskiej, rejsie po porcie gdyńskim, wycieczce po Wejherowie, a także w zmaganiach na kręgielni i na basenie. Teatralny tydzień był bardzo intensywny i bogaty w doświadczenia.

Aktorzy z Lubuczewa przygotowali na festiwal autorski spektakl pt. „Art Love Pop”, mówiący o sile miłości tkwiącej w sercu rodziny. Rodzina okazała się tu siłą człowieka, sednem jego życia, nie zaś blichtr, splendor i sława - rozmawianie się w popkulturze oraz chęć zaistnienia na scenie za wszelką cenę. Mocny poetycki przekaz okazał się nostalgiczny i skłaniający do głębokiej refleksji. (K.S.)



Fot. Archiwum Autora

Honorowi obywatele

Podczas obchodzonego jubileuszu 40-lecia gminy Ustka nadano tytuły honorowych obywateli gminy – dr. lek. medycyny Zoranowi Stojcewowi ze Słupska i księdzu diekanowi Jerzemu Wyrzykowskiemu z Parafii Rzymsko-Katolickiej p.w. Matki Boskiej Częstochowskiej w Duninowie.

W wstępie do aktu nadania tytułów zamieszczono wymowny cytat Winstona Churchilla: „Co jest prawdziwym celem życia jeśli nie dążenie ze szlachetnych pobudek do tego by ten zagmatwany świat uczynić lepszym miejscem dla tych, którzy będą na nim żyli po nas.” Ksiądz Jerzy Wyrzykowski honorowym obywatelem gminy został – jak napisano w akcie nadania tytułu – „za osobiste zaangażowanie i pracę na rzecz społeczeństwa gminy Ustka

oraz działania na rzecz rewitalizacji zabytków i ochronę dziedzictwa kulturowego”.

Laudacja dla Z. Stojcewa była następująca: „otrzymuje honorowy tytuł za całokształt pracy na rzecz pacjenta - jako specjalista chirurgii ogólnej,

naczyniowej i onkologicznej, za organizowanie sesji naukowych i Usteckich Dni Onkologicznych, za związek z gminą Ustka”.

Ks. Jerzy Wyrzykowski po laudacji powiedział: „Dziś z wielkim wzruszeniem przyjmuję to zaszczytne wyróżnienie. To wielce zobowiązujące, jednocześnie akt nadania tytułu odbieram nie tylko w kategoriach osobistych. Jest to równocześnie uznanie dla wszystkich osób, które na co dzień ze mną współpracują, wspierają i podejmują wspólną pracę na rzecz rozwoju gminy Ustka. Gmina nasza jest przykładem wielu inicjatyw, w których mam zaszczyt uczestni-



Fot. J. Maziejuk

czyć, w których następuje ciągła integracja społeczna i budowana jest obywatelska więź mieszkańców z naszą małą ojczyzną. Dziękuję za dowody uznania mojej pracy na rzecz dobra ogólnego i jednocześnie deklaruję się do dalszej aktywności, zgodnie z sentencją - „po zebranych owocach poznać nas.” (W.L.)



Fot. J. Maziejuk

Wystawy w starostwie

W Galerii Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego wyeksponowano wystawę rzeźb Kazimierza Kostki, a na pierwszym piętrze starostwa - wystawę obrazów o tematyce marynistycznej autorstwa Czesława Guita z Lubunia oraz Mirosława Łukasika ze Starej Dąbrowy.

Kazimierz Kostka urodził się w 1945 roku w Wejherowie i od wielu lat jego życiową pasją jest rzeźbiarstwo. Najchętniej tworzy w drewnie, kamieniu, rogu i bursztynie. Od 1984 roku mieszka w Wodnicy koło Ustki, wcześniej miał pracownię m.in. w Jarosławcu. W 1999 roku jego „Kapela kaszubska” złożona z szesnastu rzeźb znalazła się na ołtarzu w Sopocie podczas wizyty papieża Jana Pawła II. Obecnie prezentowana jest w Sanktuarium Matki Bożej Brzemiennej w Gdańsku Matemblewie. W 2001 roku artysta pokazał swoje prace m.in. na festiwalu folklorystycznym w Portugalii. W latach 2006 - 2007 brał udział w plenerach w Belgii i na Sycylii. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień. Nakręcono o nim dwa filmy: „Kazimierza Kostki rozmowy z diablem” i „Dwa ołtarze i dwie pielgrzymki”. Na wystawie można obejrzeć m.in. bardzo ciekawe prace o tematyce religijnej, historycznej, a także współczesnej.

Druga wystawa - obrazów o tematyce morskiej jest wynikiem artystycznego talentu Czesława Guita z Lubunia i jego pasji związanych z wieloletnią pracą na morzu. Rozpoznawany jako malarz amator, modelarz, fotograf i publicysta w swoim dorobku ma już ok. 50 mobilnych wystaw lokalnych o różnej tematyce, głównie jednak wiejskiej. - Morze to żywioł bezkresny, piękny i romantyczny, łaskawy i okrutny. Arena bezlitosnych potyczek i bitew wojennych oraz bezwzględnej konkurencji handlowej. Pozna-



Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk

wanie starych żaglowców oraz ludzi, którzy swoje życie związali z nimi, ich technika i doświadczenia, sukcesy i tragedie są czymś więcej niż dziedziną historii. To obserwacja wiecznego zmagania się człowieka z żywiołami o władzę nad przyrodą. To przebogaty świat od

pierwszych piróg tubylców przez statki zdobywców i kolonizatorów, żołnierzy, kaprów, piratów, korsarzy, kupców, handlarzy, niewolników, przemysłników, wielorybników i wielu śmiałków, którym morze zna- czyło bogactwo, władzę, sławę, utrzymanie lub tylko nieubła-

gane przeznaczenie - morską otchłań. Żaglowce wszelkich narodów są ucieleśnieniem pełnej pomysłowości i zwycięstw długiej drogi ludzkości do postępu. Stanowią część dziejów całej żeglugi, w której istotą był zawsze handel morski, przemiany polityczne i dominacja na morzu, odkrycia geograficzne. Wystawa jest zaledwie strzępkiem pamiątki ponad pięćdziesiąt stuleci trwającej sławnej epoki statków napędzanych wiatrem. Jest swoistym ukłonem autora prac do Wiecznego Żeglarza - napisał malarz w słowie do widza oglądającego jego prace.

Swoje prace marynistyczne pokazał też w starostwie Mirosław „Miro” Łukasik, były marynarz i rybak, który zapamiętane, podczas wieloletniej pracy zawodowej, widoki mórz i oceanów przenosi teraz, za pomocą farb olejnych, na płótna obrazów. Artysta amator od trzynastu lat jest mieszkańcem Starej Dąbrowy w powiecie słupskim. Swoją przygodę ze sztuką rozpoczął w młodości. Na początku wykonywał szkice i rysunki kredkami oraz ołówkami. Pierwsze obrazy olejne malował pod okiem przyjaciela Sylwestra Frasia, malarza abstrakcjonisty. Był członkiem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Słupsku. Dzieła Mirosława Łukasika to głównie obrazy o tematyce morskiej, zainspirowane licznymi rejsami, często w trakcie sztormowej pogody, sięgającymi od przylądka Horn po Nową Fundlandię i Labrador. Ukazują m.in. żaglowce na niespokojnym, budzącym lęk morzu, burzowe niebo rozdzielane piorunami, fale uderzające skaliste wyspy oraz samotne latarnie morskie.

Mirosław Łukasik tworzy również, utrzymane w morskim klimacie, prace rękodzielnicze: rafandynki (modele żaglowców w butelkach), a także figurki wykonane ze sznurka z agawy, które przedstawiają postaci: wikingów, piratów, rybaków itp.

Organizatorem wystaw jest Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku. (ms/zz)

Będą nowe przystanki

Cenna inicjatywa Stowarzyszenia Pasażerów Kolejowych Siemianice przyniosła efekty. Biuro Zarządu Centrali PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. poinformowało, że budowa przystanku kolejowego w miejscowości Siemianice i przebudowa przystanku w Jezierzycach została ujęta w studium wykonalności do projektu modernizacji linii kolejowej nr 202 na odcinku Gdynia Chylonia-Słupsk.

Pod koniec 2015 roku piętnaście osób zawiązało Stowarzyszenie Pasażerów Kolejowych Siemianice. Głównym celem statutowym miała być działalność społecznie użyteczna w zakresie rozwoju infrastruktury kolejowej. W praktyce członkowie stowarzyszenia związani najbardziej z podślupskimi Siemianicami w ten właśnie sposób rozpoczęli starania o utworzenie w Siemianicach przystanku kolejowego. Jak się później okazało nie tylko w Siemianicach.

Z uwagi na to, że inicjatywa była oddolna, wychodząca od samych mieszkańców, przedstawiciele stowarzyszenia postanowili zebrać podpisy, które wraz z odpowiednim pismem (petycją) przekazali do PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. Rozszerzyli również swoje postulaty o modernizację przystanków kolejowych w Kobylnicy i Jezierzycach oraz budowę drugiego toru na trasie linii kolejowej nr 202.

Działania te wsparł starosta słupski Zdzisław Kołodziejwski. W starostwie zorganizowano spotkanie, w którym udział wzięli członkowie zarządu stowarzyszenia - prezes Bartłomiej Zdoliński i wiceprezes Michał Nielub oraz przedstawiciele samorządów zainteresowanych wsparciem akcji: powiatu słupskiego, miasta i gminy Słupsk oraz gminy Kobylnica. Zdecydowano się na wspólne zbieranie podpisów oraz na wsparcie inicjatywy przez zainteresowane nią samorządy w formie odpowiednich uchwał podjętych przez ich organy stanowiące.

Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej zarząd stowarzyszenia i samorządowcy poinformowali media

o treści petycji i akcji zbierania podpisów. Starosta słupski z uznaniem odniósł się do tej cennej inicjatywy oddolnej, służącej poprawie komunikacji kolejowej w powiecie słupskim i podziękował samorządowcom, którzy przyłączyli się do tej akcji. Obecni na konferencji samorządowcy: starosta Zdzisław Kołodziejwski, wicestarosta Rafał Konon, Barbara Dykier - wójt gminy Słupsk, Leszek Kuliński - wójt gminy Kobylnica oraz Marek Biernacki - wiceprezydent Słupska złożyli pierwsze podpisy pod petycją.

Dzięki zaangażowaniu i pracy członków stowarzyszenia oraz wspierających ich innych osób, pod petycją udało się zebrać blisko cztery tysiące podpisów. Po kilkunastu tygodniach przyszła długo oczekiwana odpowiedź. Jest pozytywna. Biuro Zarządu Centrali PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. poinformowało, że „budowa przystanku kolejowego w miejscowości Siemianice i przebudowa przystanku w Jezierzycach została ujęta w studium wykonalności do projektu „Modernizacja linii kolejowej nr 202 na odcinku Gdynia Chylonia - Słupsk” niezależnie od ostatecznie wybranego wariantu inwestycyjnego”.

Odnosząc się do kwestii przebudowy przystanku kolejowego w Kobylnicy poinformowano, że „w ramach projektu Rewitalizacja regionalnej linii kolejowej 405 na odcinku Szczecinek-Słupsk-Ustka wraz z przebudową układu torowego na stacjach Słupsk i Ustka, na przystanku w Kobylnicy przewidziana jest przebudowa peronu.” Dodano, że „w ramach prac modernizacyjnych zostanie za-

montowana wiata przystankowa oraz zabudowane zostaną elementy małej architektury.”

Jedynie budowa drugiego toru na odcinku linii kolejowej nr 202 pomiędzy Lęborkiem a Słupskiem nie jest pewna. PKP PLK S.A. nie daje w tej sprawie jednoznacznej odpowiedzi. Rozpatrywane są trzy warianty inwestycyjne, z których jeden zakłada co prawda budowę drugiego toru, ale możliwa jest budowa jedynie tzw. mijanki lub pozostawienie jednego zmodernizowanego toru. Nadzieję na wybranie wariantu najlepszego i kosztowo najdroższego dla sprawnej komunikacji kolejowej, czyli wariantu dwutorowego na całym odcinku linii kolejowej nr 202 Gdynia-Słupsk, daje jednak wypowiedź wiceministra infrastruktury i budownictwa - Kazimierza Smolińskiego. Podczas wizyty w Gdańsku potwierdził on, że w ramach planowanych inwestycji kolejowych w województwie pomorskim powstanie drugi tor kolejowy z Gdyni do Słupska.

Czy tak się stanie, pokaże czas. Oddolna inicjatywa mieszkańców, którzy potrafili się zebrać, założyć stowarzyszenie, nakłonić do poparcia swojego pomysłu i do współpracy samorządowców w połączeniu ze zdecydowanym działaniem pokazuje, że można jednak coś zrobić dla dobra mieszkańców. Powinna być przykładem dla wszystkich, którzy dostrzegają lokalne problemy i chcieliby je rozwiązać. Przykład stowarzyszenia z Siemianic pokazuje, że warto próbować.

Paweł Lisowski

Członek Zarządu Powiatu Słupskiego

Wszystkim się nie dogodzi

Rozmowa z Anną Sobczuk-Jodłowską – urzędującą trzecią kadencję wójtem gminy Ustka.

- Gmina Ustka obchodzi w tym roku 40-lecie istnienia, uchodzi za gminę szybko się rozwijającą i chętnie odwiedzaną latem przez turystów. Na czym polega fenomen gminy? Czy tylko na wyjątkowym położeniu i bliskim sąsiedztwie z Ustką?

- Na rozwój naszej gminy niewątpliwie ma wpływ jej geograficzne położenie, ale tak naprawdę żadnego sukcesu nie osiągnie się bez pracy i nie wypracuje się go w pojedynkę. To zasługa wielu elementów. Różnorodność gminy w każdym zakresie - pod względem walorów przyrodniczych, kulturalnych, ludzkich dobrze wykorzystana na pewno przyczynia się do rozkwitu. To również efekt rozważnych decyzji podejmowanych w minionych latach, prowadzenia pracy u podstaw, upływu czasu, doświadczenia i możliwości kontynuowania określonej wizji oraz poznania oczekiwań mieszkańców.

- Gmina Ustka zaliczana jest do bogatych gmin. Ciekawi mnie, jak kształtują się dochody własne gminy, ile jest w budżecie subwencji państwowej i pozyskiwanych środków zewnętrznych?

- Bardzo mnie denerwuje, kiedy słyszę, że gmina nasza zaliczana jest do bogatych. Oczywiście nie ma powodów do narzekania i mówienia, że jest źle, ale dzisiaj wolalabym, gdyby mówiono o nas, że należymy do gmin całkiem niezłe sobie radzących. Jak w każdej gminie, budżet nasz kształtują podatki i opłaty, któ-

re stanowią połowę dochodów, subwencje stanowią niewiele ponad 11 procent, dochody majątkowe ze sprzedaży i dotacje na zadania zlecone i dofinansowanie zadań własnych - 48 procent. Ponadto - jak pan trafnie z a u w a -

żył - pozyskujemy środki unijne, w ostatnich kilku latach ubierało się ich około 65 milionów złotych. Na samą modernizację oczyszczalni ścieków w Rowach pozyskaliśmy prawie piętnaście i pół miliona złotych. W 2015 roku udział wydatków inwestycyjnych w wydatkach ogółem wyniósł prawie 34 procent. To oznacza, że inwestujemy, podnosząc standard życia mieszkańców i nie prowadzimy konsumpcyjnej gospodarki.

- Macie dobrze rozwiniętą infrastrukturę komunalną. Czy można jednak powiedzieć, że jest już ona wystarczająca do obsługi mieszkańców i zwiększającego się co roku napływu turystów?

- Istotnie, mogę powiedzieć, że w gminie nie ma problemów z infrastrukturą, choć są jeszcze nieskanalizowane odcinki, stanowią one jednak niewielki procent. Ostatnia miejscowość - Pęplino przewidziana jest do inwestycji w 2017 roku. Problemy z gospodarką komunalną mogą dotyczyć jeszcze kolonii i zagrodowych osad, gdzie inwestowanie jest na razie nieekonomiczne i wiązałoby się też z bardzo dużymi kosztami eksploatacyjnymi. To wpłynęłoby na wyższe opłaty, a do tego nie możemy dopuścić. Po





wykonaniu modernizacji oczyszczalni ścieków możemy do niej przyłączyć tysiące użytkowników. Zastosowany modułowy system pozwala na podłączenie kolejnych wsi, osad - według potrzeb. Doskonałym przykładem dynamicznie rozwijającej się miejscowości są Rowy, które z trzystuosobowej społeczności zamieniają się latem w kilkutysięczne miasteczko. To samo mogę powiedzieć o Dębiniu, Poddąbiu, Przewłocze, a nawet o miejscowościach nie położonych nad samym morzem - Objeździe, Machowinie, Wytownie, Wodnicy. One mają też coraz lepszą ofertę agroturystyczną.

- **A gdybym zapytał o inne sfery życia społecznego - edukację, kulturę, pomoc społeczną, służbę zdro-**

wia, bezpieczeństwo. Czy pod tym względem też jest już dobrze?

- Wszystkim się nie dogodzi i zawsze będą jakieś niespełnione oczekiwania i ambicje. Zawsze uważałam, że nawet, jeśli jest już dobrze, to nie oznacza to, że nie może być lepiej. Kluczem do lepszego jest dobra komunikacja ze społeczeństwem, bowiem zgłaszane pomysły to nic innego, jak oczekiwania wyartykułowane przez mieszkańców gmi-

ny. Utworzony fundusz sołecki jest doskonałą nauką demokracji i związanych z nią wyborów - to poznawanie sposobu myślenia ludzi z poszczególnych sołectw i różnorodnych sposobów podejścia do tzw. codzienności. To dobry sposób na wydawanie publicznych pieniędzy. A co do potrzeb - na pewno jest ich jeszcze wiele, z upływem lat wyrastają jak „grzyby po deszczu”. Nie ma szans, by zrobić wszystko i zadowolić wszystkich.

- **Jakie są zatem plany na najbliższą przyszłość, jeszcze w tej kadencji samorządu?**

- Z całą pewnością priorytetem jest infrastruktura drogowa. Wyzwaniem jest modernizacja drogi krajowej 21 Słupsk-Ustka, wojewódzkiej 203 Ustka-Darłowo, powiatowej Objazda-Ustka z łącznikiem Wytowno-Bydlino oraz system dróg powiatowych i gminnych pomiędzy miejscowościami Mońdzanowo-Zaleskie, Poddąbie-Dębina, Wytowno-Poddąbie. Musimy pamiętać, że zostaliśmy liderem budowy trasy rowerowej R-10, a sołectwa nasze oczekują na nowe świetlice, remizy, boiska wielofunkcyjne. Poza tym wprowadziliśmy system bezpłatnych szczepień dla trzech grup wiekowych: dzieci (pneumokoki), młodzieży (brodawczak) i seniorów (grypa). Z tym też będą się wiązać wydatki.

- **Ciekawi mnie jeszcze, jak długo związana jest pani z ustecką gminą, gdzie rozpoczęła pani pracę i jakie przeszła już szczeble kariery zawodowej, poza pełnieniem funkcji wójta?**

- Pracę zaczynałam jeszcze w Urzędzie Miasta i Gminy w Ustce, a z gminą wiejską Ustka związania jestem od jej powstania po podziale administracyjnym w 1990 roku. W swojej pracy zawodowej przesłam wszystkie możliwe szczeble, od referenta po sekretarza urzędu gminy, zanim zostałam wójtem. Czasami wydaje mi się, że bardziej jestem związana z gminą i jej mieszkańcami niż z poszczególnymi członkami mojej najbliższej rodziny. Często odnoszę wrażenie, że praca na rzecz gminy jest na pierwszym miejscu w moim życiu. Mam tylko nadzieję, że nigdy nie będę tego żałowała.

- **Dziękuję za rozmowę.**

**Rozmawiał: Włodzimierz Lipczyński
w.lipczynski@interia**

Mija nam lato

Nie byłoby niczego nowego w tym, że kiedy miasto odpoczywa, większość ludzi udaje się na urlopy, wakacje, zwalnia się rytm życia w gorących od słońca murach miast i miasteczek, na wsi właśnie rozkręca się prawdziwe wiejskie, pełne trudu życie. Rozpoczynają się żniwa, trwają zbiory zbóż i innych płodów rolnych, pełne i cieszące oczy urodzajem sady zaczynają powoli uwalniać swe gałęzie od obfitości owoców. Spichrze, spiżarnie i piwnice wypełniają zapachy aromatycznych przetworów oraz kolory barwnych słoików i butelek z kompotami, sokami i nalewkami. - Ech, rozpędziłem się poetycko, bo sam właśnie jestem na etapie przygotowywania wiśniowych pyszności, przygotowując się także do krzepienia swej duszy nalewką, kiedy nadejdą jesienne chłody, mrozy zimy także.

Nie byłoby zatem niczego nowego w tym, o czym piszę, gdyby nie nowe dylematy współczesności. I nie chodzi wcale o te zmiany związane z nowoczesnością, powodujące, że wspomniany wyżej przeze mnie, człowieka starej daty obraz wsi odbiega od dawności. Że żniwa latem nie mają już na wsi tego kolorytu co dawniej, że trud rolnika nie jest tak uciążliwy jak kiedyś, gdyż ogrom rodzaju maszyn rolniczych, dawno zastąpił prawnego konia, pług i drewniany wóz o kołach z metalowymi obręczami.

Gdyby nie nasze babcie, nie byłoby już także wspomnianych wiejskich piwniczek z przetworami, i cit - ważne, z nalewkami. Z krajobrazów wsi zniknęły prawie stodoły, zboże odwozi się do elewatorów, owoce do przemysłowych hurtowni i przetwórni, większość z nich przetwarzając przemysłowo zaraz po zbiorach. Wszystko się zmienia, nasze życie także. Zmieniają się i miasta, zmieniają się nasze potrzeby. Na korzyść, na nasze dobro, na lepsze samopoczucie, ku lepszej przyszłości. - I oby.

Zadzwonili niedawno do mnie z telewizji producenci filmowi z prośbą o pomoc, by znaleźć im i udostępnić bazę filmową do nowego serialu. „Taką z prawdziwą wsią, ze studnią z żurawiem, gnojownikiem na środku podwórka, psem na łańcuchu przy

budzie, pasącymi się na uwięzi przy domu krowami...”

- Śmiechu warte. U nas, na Pomorzu? Żarty sobie robicie państwo? U nas takiej wsi już dawno nie ma. Poszukajcie może na Podlasiu, nie wiem...

O, jeszcze można by było znaleźć w sadach gdzieś przy domach ule z pszczołami. Chociaż i z tym w tym roku było sporo kłopotu. Gdy przecho-

dziły wczesnoletnie upały, pszczelarze wszczęli alarm, gdyż w ulach normalnie „gotowały im się z gorąca” pszczoły. Organizowano akcję ratunkową, wywożono ule do lasów, w chłodniejsze ocienione miejsca.

Takich nowości oczywiście nie oczekujemy, boimy się ich. Zmian klimatycznych boją się wszyscy. I chociaż wiemy, że na większość z nich ma wpływ nasza działalność, nie potrafi-



Fot. J. Maziejuk



siły od nas niezależne - światowy terroryzm i skurczenie się międzynarodowego rynku turystycznego. Wiele państw zostało dotkniętych w ostatnich miesiącach zamachami terrorystycznymi, a znajdujące się w nich światowej sławy kurorty stały się niebezpieczne dla turystów.

Wzrosły także napięcia w polityce wewnętrznej wielu państw Europy Zachodniej, borykającej się z problemami uchodźców z Afryki i kryzysami natury gospodarczej. Po decyzji Anglików wyrażonej w referendum w sprawach wyjścia z Unii Europejskiej zachwiana została jej stabilność. Ogólny wzrost napięć społecznych w wielu państwach europejskich (Grecji, Turcji, Niemczech i Francji), w tym utrzymująca się destabilizacja na Ukrainie, umacnianie sojuszy obronnych w ramach NATO w państwach Europy Wschodniej, budzą ogólny niepokój obywateli o przyszłość, powodują rozmaite polityczne frustracje, które także głośnym echem odbijają się w polityce naszego kraju.

Kolejne lato powoli odchodzi do historii. I nie byłoby w tym niczego szczególnego, bo przecież tak układa się kalendarz, tak mija nam życie i zapisuje się przeszłość. Wieś zawsze jest w tej materii szczególnie wyróżniana przez naturę, lato ją kocha, lato szczególnie mocno wiąże ją z przyrodą, z naszym życiem także.

W tej sytuacji relaks, odpoczynek nie tylko fizyczny, ale i psychiczny, jest nam szczególnie potrzebny. Szukamy go tam, gdzie jest jeszcze bezpiecznie, w miarę tanio, no i oczywiście zdrowo.

Na trend wypoczywania nad morzem wpływało jeszcze jedno zjawisko, wewnętrzne, a było nim po prostu świeże powietrze. Ileż to głosów ulgi, zachwyty, czy też narzekań na swoje środowisko, skąd nad morze nadciągali wczasowicze, słyszało się od mieszkańców Krakowa, Śląska, a nawet i innych dużych miast, takich jak chociażby sama stolica. I chociaż czasami wydawało się dziwne, że ludzie z wielkich miast ciągnący do nas nad morze, uciekając od wielkomiejskiego zgiełku i tłoku, trafiając na plaże zatłoczone do granic możliwości, jakich w poprzednich latach nie było,

mimo to byli zadowoleni. Zadowoleni, bo radowało ich zdrowe, czyste powietrze. Morskie, niczym nie skażone, wolne od wielkomiejskiego smogu i górniczych zanieczyszczeń, pełne jodu i ozonu.

- Wysiadając z samochodów, wciągali je w płuca i wzdychali: Jak tu u was, swobodnie się oddycha. I co najważniejsze: zapominali o różnicach politycznych podziałów, chociażby na tych lepszego i gorszego sortu, czy różniących ich idei. Na krótko, na dwa tygodnie, miesiąc, tydzień zapominali o tym, czym karmi ich codzienna telewizja, czym nafaszerowana jest współczesna polityka, czym żyje świat. Zapominali i czuli się szczęśliwi.

Może to zbyt krótko dla dobrego samopoczucia przez następne kilka czy kilkanaście miesięcy, może za mało, ale zawsze coś - jak mawiają niektórzy. Krótko, bo też i pełny sezon turystyczny w kraju trwa krótko. Nie mówiąc już o tych, którzy z tego sezonu próbują żyć. Dla nich to zawsze wyjątkowo krótko. Dlatego podnosili ceny na swoje usługi, dlatego w sezonie turystycznym wyjątkowo drogie były morskie ryby, wiejskie owoce i warzywa, drożała (konkurencyjnie) gastronomia, kultura i rozrywka. Coś za coś. Prawa rynku szalały, ale ogólnie było dobrze, byliśmy wszyscy zadowoleni.

A przy okazji zyskaliśmy nowe wzorce, doświadczenia. Poszerzyliśmy swoją wiedzę o kraju, na własne oczy mogliśmy przekonać się, jak przez ostatnie lata wypiękniała nasza polska wieś, jak bardzo zbliżyła się do Zachodu.

A tak przy okazji, jeśli napiszę, że sołtys na wsi otrzymuje wynagrodzenie w wysokości 200 złotych, to zdziwi czytelnika, czy nie zdziwi? Pięknie je nasza wieś, ale troska o nią ze strony władz centralnych wcale za tym w parze nie idzie. Dobrze, że potrafimy z tym sobie jakoś radzić sami.

Za rok kolejne urlopy i wakacje, znów Polacy pewnie ruszą masowo nad morze. Znów, prócz corocznego letniego trudu związanego ze zniwami, i na wsi trzeba będzie także pomyśleć o tych, którzy nas odwiedzają. Może warto już dzisiaj pomyśleć o tym, że w nadmorskich miejscowościach warto dla nich poza bazą noclegową, poszerzyć także pasaż usług kulturalnych? Pamiętajmy o tym.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz

my temu zapobiec. Nie możemy, bo pazerność, chciwość, nowe mody i w ogóle trendy ekonomiczne współczesnego liberalnego kapitalizmu zwyżają z rozsądkiem i dalekosiężnymi potrzebami człowieka.

W tym roku nasze wsie w powiatach nadmorskich przeżyły renesans w agroturystyce. Dylemat z poprzednich lat czy opłaca się inwestować w „ten interes”, został rozwiązany przez



Pamięć ostrzega

Festyn w Bronowie przypomniat przybyłym licznie mieszkańcom o znaczeniu domu, o wielkości i mądrości rodziny, wspólnotowości lokalnej, o narodzie...

Ta ziemia z konieczności stała się (moją) małą ojczyzną... - ten cytat z wystąpienia Eugeniusza Terefenko, byłego mieszkańca Bronowa, dotyczy wielu z nas. Ze względów historycznych również Bronowo stało się mozaiką kilku grup etnicznych i narodowych. Z różnych powo-

dów znaleźli się w Bronowie Polacy z dawnych terenów Drugiej Rzeczypospolitej, z centralnej Polski oraz przedstawiciele wschodniosłowiańskich grup etnicznych. Z ogromnym trudem tworzyli oni nową wspólnotę, również z mieszkającymi tu od dziada pradziada Niemcami oraz trafiającymi do tej miejscowości Kaszubami.

W Bronowie - małej wsi w województwie pomorskim, w gminie Kępice, przenikają się cztery kultury - polska, kaszubska, ukraińska i niemiecka. Na początku lipca zorganizowano tu festyn rodzinny, sąsiedzki, pomorski... Radosne święto, połączone z połową mszą ekumeniczną, to swoista lekcja życia na najwyższym poziomie. Jasny przekaz organizatorów został właściwie odczytany przez licznie przybyłych gości i mieszkańców. Pan Eugeniusz Terefenko przygotował odczyt dla mieszkańców z okazji tego wydarzenia. Jego słowa, pełne pozytywnych emocji, pomimo deszczu, trafiały do słuchaczy.

E. Terefenko o społeczności: - Jesteśmy żywymi świadkami najnow-

szej historii tej ziemi. Jak wszyscy dobrze wiemy, historia nie zawsze była dla wszystkich łaskawa i nierzadko pokazuje swoje drapieżne oblicze, a jej żałosne skutki odbijają się zawsze na zwykłych ludziach. Stwierdzenie to odnosi się również do wcześniejszych i późniejszych mieszkańców uroczono położonej wśród lasów wsi o dawnej nazwie „Brinnow”, a obecnie „Bronowo” (...) Jedni z powojennych osadników przybyli do Bronowa w wyniku zmiany granic państwa polskiego i odcięto ich od rodzinnych stron za wschodnią granicą, gdzie żyli od wielu pokoleń. Odnosi się to do dawnych mieszkańców Wileńszczyzny, Podlasia, Polesia, Wołynia czy nawet Podola. Ludzi tych często określano po prostu jako repatriantów zza Bugu. Inni stali się ofiarami jeszcze bardziej tragicznych wydarzeń. Mam tu na myśli ludzi pochodzenia ukraińskiego, którzy wcześniej należeli do takich grup etnicznych, jak Łemkowie, Bojkowie lub nawet Huculi. Ludzie ci przybyli tu z terenów Polski południowo-wschodniej wiosną 1947 roku, w wyniku masowych przesiedleń, z Akcją Wisła. Wśród powojennych osadników Bronowa są również ludzie, którzy nie byli może bezpośrednimi ofiarami żadnych z katastrof wojennych, a podjęli próbę poprawy swojej niełatwej doli i postanowili poszukać po prostu chleba. Byli to głównie ludzie z centralnych województw Polski oraz z terenów pobliskich Kaszub. Niemal



całej miejscowej ludności niemieckiej przyszło opuścić na zawsze te ziemie i za swoje miejsce stałego pobytu przyjąć inne regiony dawnej rzeszy niemieckiej. Nie z własnej woli zmienili swój „hajmat” (dom).

Eugeniusz Terefenko przypomniał mieszkańcom nazwiska pierwszych osadników, którzy przybyli do Bronowa. Mówił również o organizacji szkoły w latach powojennych, przypomniał pierwszego kierownika, Kazimierza Woltera, pochodzącego z Tczewa. Po nim przyszli kolejni nauczyciele: p. Szczuchula, p. Śledź, w latach 1953 - 1967 p. Kobarska. - Dziś z smutkiem uświadamiamy sobie fakt, że nie ma wśród nas większości ludzi, którzy przybyli do Bronowa, jako pierwsi osadnicy z różnych regionów Polski, jak również jako repatrianci z Wileńszczyzny i Wołynia - mówił pan Eugeniusz.

Festyn czterech kultur możemy z całą pewnością nazwać niezwykle ucztą tolerancji dla różnorodności. Zdecydowanie Bronowo posiada własną magię, od mieszkańców urokliwej wsi można się wiele nauczyć. Zachwylił m.in. występ zespołu śpiewającego pieśni ukraińskie przy akompaniamencie grecko-katolickiego księdza, wspaniałego człowieka. Był Jan Maziejuk, który od lat pięćdziesiątych XX wieku dokumentuje życie społeczne na Pomorzu. Jego ostatni album pt. „Uwieczone chwile” jest znakomitą interpretacją zmieniającego się świata - wędrówki ludzi i odsłony miejsc.

Burzliwe dzieje Pomorza, mające swe źródło w czasach drugiej wojny światowej, dobrze znają jego mieszkańcy. Najstarsi na własnej skórze doświadczali okropieństwa wojny, co

niewątpliwie odcisnęło piętno na ich świadomości. Wichry wojny i nowego powojennego porządku, czasami nadzieja na poprawę warunków życia, zmuszały miliony ludzi do opuszczania swoich domostw. Powojenna wędrówka pozbawiła wiele osób duchowych korzeni, odciskając piętno na całym ich życiu.

Mimo dzielących ich różnego rodzaju różnic (narodowościowych, kulturowych czy religijnych) i wynikających z nich nieufności, zapewne także niechęci do siebie, potrafili budować wieś, w której powoli zakorzeniać się, tworząc wspólnotę. Nawet w rodzinie zdarzają się zwady, i to jest naturalne, wpisane w kontekst ży-

do obcych, śmierci i zagładzie. Każdy z nas wie, skąd przybył. Przypomina nam o tym również piosenki m.in. Marka Grechuty „Skąd przychodzimy, kim jesteśmy, dokąd idziemy?”. Pamięć jest świętością, mądrze nas ostrzega.

Festyn w Bronowie przypomniał przybyłym licznie mieszkańcom i gościom z regionu o znaczeniu domu, o wielkości i mądrości rodziny, wspólnotowości lokalnej, o narodzie... Ale przede wszystkim o tym, że społeczność składa się ze świadomych ze swego indywidualnego znaczenia (i przeznaczenia) jednostek, dla których szacunek dla siebie, swojej kultury, tożsamości narodowej i religijnej



Fot. J. Maziejuk

cia człowieka, ważne by nie stały się one antagonizujące. Po burzy zawsze świeci słońce. Bronowianie mają tego świadomość. Nie tylko nam, zwykłym obywatelom, ale także wszelkim elitom warto i należy przypominać o pamięci pokoleń, cierpieniu, niechęci

idzie w parze z szacunkiem, ufnością i otwartością na innych. Taka wspólnota ma szansę nie tylko na indywidualne, ale co istotniejsze, na zbiorowe bezpieczeństwo i szczęście, którego wciąż sobie wzajemnie życzymy przy wielu okazjach. Definicja szczęścia jest bardzo prosta. Mieszkańcy małego Bronowa udowodnili swą wielkość! Na parę godzin, i w sensie symbolicznym, ta wieś stała się „wykrzyknikiem” dla tych, którzy interpretując współczesną rzeczywistość, używają złych emocji, zapominając przy tym, ile krzywd można wyrządzić niewłaściwym słowem, gestem...

Należy wciąż wzajemnie sobie przypominać, ile złego wyrządziła wojna, szczególnie w materii społecznej. Odbudowa zgliszcz, również tych społecznych, wymaga czasu, to bardzo trudny proces. Oby takich miejsc jak Bronowo było więcej!

Danuta Sroka, András Asztalos
Słupsk



Fot. J. Maziejuk

Ojczyzny kształty wszelakie

Pomorskie Forum Edukacji Regionalnej od dwunastu lat przyciąga do Słupska liczne grono regionalistów. Autorką projektu integrującego różnorodne środowiska Pomorza jest Grażyna Przybylak – konsultant ds. edukacji międzykulturowej oraz humanistycznej w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli.



Obszar województwa pomorskiego to jeden z najbardziej zróżnicowanych pod względem etnograficznym regionów w Polsce. Dziedzictwo i współczesność Pomorza Środkowego, Kaszub czy Kociewia sprzyjają integracji społeczności lokalnych i pobudzają do aktywności. W dobie powszechnej globalizacji, odwołanie się do naszej tradycji i do naszej specyficznej historii może być największym atutem. Warto także podkreślić, iż współczesny regionalizm nie ogranicza się do prezentacji zespołów folklorystycznych, a szeroko otwiera się na nowe technologie, korzysta z mediów społecznościowych i sprawia, iż podejmowane działania odbijają się szerokim echem w wirtualnej przestrzeni.

Grażyna Przybylak z wielkim zaangażowaniem zabiega o zachowanie

ciągłości międzypokoleniowej mieszkańców regionu. Ale realizacja takiego dużego przedsięwzięcia, jakiego się podejmuje, nie byłaby możliwa bez wsparcia udzielanego przez wiele zasłużonych dla miasta i regionu instytucji. Podczas corocznych spotkań prezentowany jest dorobek nauczycieli – regionalistów, pasjonatów zafascynowanych historią i współczesnością Pomorza. Zajmowano się już m.in. zagadnieniami: „Słupsk w regionie. Nie tylko zabytki”, „Słupsk. Miasto twórcze”, „Inspiracje regionalne w teatrze”, „Wielokulturowe Pomorze. Wielokulturowy Słupsk”, „Dziedzictwo wielokulturowe w literaturze i sztuce”, „Jeden dom, wiele narodów”, „Kulturowe pejzaże Pomorza”, „Wielokulturowe Pomorze. Tradycja odnaleziona”. Tematyka ta doskonale

wpisała się w życie regionu uwarunkowane różnorodnością kulturową.

Tegoroczne, XII Pomorskie Forum Edukacji Regionalnej odbyło się pod hasłem: „Wielokulturowe Pomorze - Ojczyzny kształty wszelakie”. Swojej gościny regionalistom udzielił Zamek Książąt Pomorskich. Otwierając 3 czerwca spotkanie, Bożena Żuk – dyrektor Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Słupsku w swoim wystąpieniu podkreśliła, że wśród wielu zadań najważniejsze jest budowanie przestrzeni dialogu międzykulturowego i międzypokoleniowego oraz upowszechnianie dziedzictwa historyczno-kulturowego. Dodała również, że jest to dobra forma doskonalenia nauczycieli, bowiem pozwala na ogląd tego, co się wydarzyło w minionym roku szkolnym na lekcjach i zajęciach pozalekcyjnych poświęconych regionalizmowi. Dla nauczycieli ważne są spotkania z regionalistami, bo wzbogacają ich warsztat metodyczny.

Podczas inauguracji głos zabrał m.in. senator RP Kazimierz Kleina, który również podkreślił konieczność wszechstronnego rozwoju Kaszub i Pomorza oraz upowszechniania wiedzy o kulturze, języku i historii. Bogaty program rozpoczął się od występów zespołów ludowych. Na scenie przed Zamkiem Książąt Pomorskich zaprezentował się Dziecięcy Kaszubski Zespół Pieśni i Tańca „Tuchlińskie Skrzaty” z Tuchlina. Tańce ukraińskie prezentował zespół „Witrohon”

z I Liceum Ogólnokształcącego w Białym Borze. Wystąpił też z tego liceum Zespół Wokalny Białego Śpiewu, a ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Bytowie zaprezentowali się młodzi wokaliści.

Wykład inauguracyjny poświęcony projekcjom polskości - obywatel czy patriota wygłosił prof. dr hab. Józef Bachórz z Uniwersytetu Gdańskiego. „O Wielkim Pomorzu - wielokulturowości dziedziczonej” mówiła prof. dr hab. Adela Kuik-Kalinowska z Akademii Pomorskiej w Słupsku, a kwestię obywatelskości między ideą wielokulturowości a prawem do edukacji regionalnej przybliżyła dr Adela Kożyczkowska z Uniwersytetu Gdańskiego. Andrzej Obecny mówił o wielokulturowości na łamach swojej gazety „Moje Miasto”, którą od wielu lat wydaje w Słupsku.

Ciekawy miał przebieg panel regionalistów nt. „Od edukacji regionalnej do wspólnoty obywatelskiej”, w którym udział wzięli wykładowcy m.in. Uniwersytetu Gdańskiego i Akademii Pomorskiej w Słupsku, przedstawiciele Centrum Edukacji Regionalnej w Gdańsku, Klubu Nowodworskiego, Stowarzyszenia Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego, Centrum Wsparcia Imigrantów i Imigrantek w Gdańsku, Oddziału Kocińskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Tczewie oraz Słupskiego Związku Ludności Pochodzenia Niemieckiego.

Uczestnicy panelu zwrócili uwagę na konieczność poszukiwań rozwiązań problemów związanych z tożsamością i edukacją grup mniejszościowych. Wskazali na przykłady dobrych praktyk w działalności placówek oświatowych, a także na potrzebę nauczania języka kaszubskiego i kształcenia kadry pedagogicznej w tym zakresie. Panieliści wielokrotnie też podkreślili, że wielokulturowość i różnorodność etniczna Pomorza powinna być dla nas, współczesnych powodem do dumy i źródłem inspiracji, a eksponowanie pomorskiej tożsamości wielu kultur i jednocześnie budowanie spójnej wspólnoty obywatelskiej tych ziem, powinno być priorytetowe dla działających w regionie instytucji kulturalnych i oświatowych.

Iwona Poźniak, Słupsk

„Białe Bociany 2016” rozdane w Kobylnicy



Po raz czternasty wręczono „Białe Bociany”, nagrody starosty słupskiego, przyznawane za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej oraz upowszechnianie i ochronę dóbr kultury. Uroczysta gala odbyła się 28 lipca w Sali Teatralnej Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy.

„Białe Bociany” przyznawane są w powiecie słupskim od 2013 roku. To najważniejsze nagrody w powiatowej kulturze. Kandydatów do nagrody trzeba zgłaszać, mogą to robić instytucje kultury, stowarzyszenia, inne organizacje, redakcje i sami zainteresowani. Przed podjęciem ostatecznego werdyktu, który należy do Zarządu Powiatu, oceniane są osiągnięcia kandydata w minionym roku, jego dotychczasowy dorobek i podejmowane przez niego działania o istot-

nym znaczeniu dla kultury powiatu.

Bociany są symbolem płodności, dobrego życia, kojarzone z odradzaniem się przyrody i pobudzaniem jej żywotnych sił. Mówiono kiedyś, że bocian przynosi ze sobą klucze, którymi otwierana jest ziemia, aby uwolnić ze swojego wnętrza rośliny do życia. Na ziemi słupskiej gniazduje wiele bocianów, które żyją w ogromnej przyjaźni z ludźmi. Z ptakami tymi związana jest piękna przypowieść. Mówi ona, iż bocian powstał z czło-

wieka. Gdy Bóg uładzał stworzony przez siebie świat, spostrzegł, że na ziemi rozmnożyło się bardzo dużo gadów, płazów i wszelkiego robactwa. Zszedł więc z nieba, zebrał to całe plugastwo do worka i związał go tak, by nic się z niego nie wydostało. Następnie nakazał jednemu z ludzi, aby wrzucił ten pakunek do wody i zatopił. Ostrzegł przy tym, żeby pod żadnym pozorem go nie otwierać. Człowiek przyrzekł spełnić powierzone mu zadanie i udał się nad wodę. Rosła w nim jednak ciekawość, co też jest w środku. Pomyślał: - Skoro worek dał mi sam Bóg, to nie może być w nim nic złego. Otworzył tobolek, a wtedy uwiecznione stworzenia rozpełzły się na wszystkie strony. Przerażony człowiek próbował wylapać uciekinierów, ale udało mu się to tylko częściowo. Całe zajście widział Bóg, który rozgniewał się na śmiertelnika i rzekł: - Za karę do końca świata będziesz łapał to, co wypuścisz. I wtedy człowiek przemienił się w bociana. Gdy nieszczęśnik głośno protestował, rozsierzony Bóg odciął mu język, i od tego czasu ptak już tylko klekocze.

Gospodarzami tegorocznej Gali „Białego Bociana 2016” w Kobylnicy byli: Zdzisław Kołodziejski, starosta słupski i Leszek Kuliński, wójt gminy Kobylnica. „Białe Bociany 2016” - wykonane przez mistrza rzeźbiarstwa Zenona Frąckiewicza, nagrody pieniężne oraz pamiątkowe dyplomy otrzymali w tym roku: Magdalena Lesiecka - etnolog Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku Oddziału Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie - za kreatywną edukację kulturową i popularyzację kultury tradycyjnej wsi Pomorza; Witold Leśniewski z Dębicy Kaszubskiej - pasjonat fotografii przyrodniczej i panoramicznej - za wyjątkową wystawę fotografii „PGR - 20 LAT PO...”, dokumentującą budowę dawnych PGR-ów i obecne losy ich pracowników; Elżbieta i Jan Nagórni z Ustki za nawiązanie w 2015 roku współpracy z Paryskim Stowarzyszeniem Artystów zrzeszających plastyków wszystkich narodowości, organizowanie cyklicznych spotkań i wernisaży zagranicznych twórców w prowadzonej w Ustce Galerii - Winiarni - Herbaciarni oraz za promocję artystów usteckich we Francji.

Magdalena Lesicka jest nie tylko etnologiem, także animatorką kultury, pasjonatką tradycyjnego śpiewu



Fot. J. Maziejuk

ludowego, rękodzielnictwa - tkaczką, prządką, pisankarką, znawczynią zwyczajów i obrzędowości wiejskiej. Główny obszar jej działań zajmuje jednak kreatywna edukacja kulturowa, którą skutecznie realizuje poprzez organizację cyklu programów artystyczno-edukacyjnych zorientowanych wokół aspektów szeroko rozumianej kultury tradycyjnej wsi Pomorza. Realizowane od lat innowacyjne cykle spotkań dla dzieci, młodzieży oraz dorosłych łączą w sobie różnorodne działania z zakresu etnografii i antropologii kulturowej oraz artystyczne - rękodzielnicze, muzyczne i teatralne. Jest autorką m.in. scenariusza wystawy „Tkactwo na Pomorzu”, autorką idei i współorganizatorką Pracowni Tkackiej, takich realizowanych projektów jak: „Dziecięca Zagroda. Kociół muzealnej zupy”, „Sztuczki ze sztuką” czy „Bajanie na sianie, gry i zabawy edukacyjne”.

Dla Witolda Leśniewskiego, od lat fotografia przyrodnicza i krajoobrazowa jest pasją. Za pomocą zdjęć stara się ukazywać piękno naszego regionu. W

2011 roku wygrał konkurs fotograficzny „Krajobraz Pomorza”, zorganizowany przez Europejski Fundusz Rolny na Rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich Partnerstwa Dorzeczcie Słupi. W 2012 zdobył II miejsce w konkursie Starostwa Powiatowego w Słupsku oraz uzyskał dodatkowo nagrodę specjalną za prezentację trzech panoram krajoobrazowych. W 2013 zdobył dwa wyróżnienia w innym konkursie zorganizowanym przez starostwo oraz II miejsce w konkursie fotograficznym na fotografię jezior Pomorskiego Parku Krajoobrazowego „Dolina Słupi”. W 2014 roku za stypendium starosty słupskiego zorganizował bardzo interesującą wystawę fotografii, której tematem była zima, jej uroki i magia obrazów pokazujących różnorodne struktury powstające w lodzie zamrożonych jezior przepływowych. W ubiegłym roku przystąpił do realizacji ryzykownego projektu pod nazwą „PGR XX lat po...”. Zawiera on zbiór fotografii dokumentujących popadające w ruinę budowle dawnych PGR (dwory ziemiańskie, spichlerze, gorzelnie, obory, magazyny



ny, chlewnie) i dokumentuje też losy niektórych byłych pracowników PGR. We współpracy z Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie powstała wystawa i został nakręcony film, zawierający wywiady z pracownikami PGR.

Państwo Elżbieta i Jan Nagórni przed wieloma laty (w 1991 r.) stworzyli w Ustce szczególne miejsce, w którym spotykają się twórcy sztuki i jej odbiorcy. To Galeria - Winiarnia - Herbaciarnia. Najpierw spotykali się w niej i prezentowani byli twórcy miejscowi, lokalni. Dzisiaj jest to już miejsce spotkań międzynarodowych. W ubiegłym roku nawiązali współpracę z Paryskim Stowarzyszeniem Artystów zrzeszających plastyków wszystkich narodowości, organizując cykliczne spotkania i wernisaże zagranicznych twórców w Galerii w Ustce i promując artystów usteckich we Francji.

Podczas Gali wręczono też nagrody pieniężne i dyplomy starosty słupskiego. Nagrody takie otrzymali: Joanna Sobolewska - portrecistka ze Świśla w gminie Damnica - za wysta-

wę portretów zorganizowaną w Centrum Edukacji i Kultury w Damnicy, wykonane ilustracje do książki Anny Rucińskiej pt. „Świat bajkowy wierszyków dla smyków” oraz do książki z serii „Pszczoły” i „Owady” Wydawnictwa Duszpasterstwa Rolników we Włocławku; Włodzimierz Lipczyński - pasjonat dziennikarstwa ze Słupska - za prezentację na łamach „Powiatu Słupskiego” twórców kultury zasłużonych dla ziemi słupskiej; Zenon Frąckiewicz - mistrza rzeźbiarstwa z Łupin (gm. Słupsk) - za wystawę prac rzeźbiarskich zorganizowaną z okazji 45-lecia pracy twórczej oraz za prowadzenie Powiatowej Pracowni Rzeźbiarskiej; zespół wokalny „Wiśta-Wio” z Potęgowa - za ambicje artystyczne i popularyzowanie tradycyjnej kultury muzycznej; Ewa Grużewska - malarzka ze Starkowa (gm. Ustka) - za zilustrowanie wydanych bajek słupskiej pisarki Jolanty Nitkowskiej-Węglarz pt. „O słupskich skrzatach i tajemnicy czterech wieżyczek” oraz zorganizowanie w Słupsku indywidualnej wystawy malarstwa pt. „Ewa w baj-

kowej krainie”; Krzysztof Surowiec - instruktor kulturalno-oświatowy w Domu Pomocy Społecznej w Lubczewie - za sukcesy odniesione w 2015 roku z prowadzonymi zespołami artystycznymi „Epitafium po Metaforze” i „Teatr Jednego Momentu Zza Kuryntyny” oraz Marta Sikora - wokalistka, autorka tekstów, muzyki i animatorka kultury z Kępic - za szerzenie kultury muzycznej i myśliwskiej.

Nagrody wręczyli starosta słupski Zdzisław Kołodziejski i przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego - Jan Olech. Swoją nagrodę wręczył także Leszek Kuliński - wójt gminy Kobylnica. Otrzymała ją Bożena Łazarczyk - nauczycielka, poetka i pasjonatka fotografii ze Szkoły Podstawowej w Kobylnicy - za bardzo aktywną działalność fotograficzną, nawiązanie współpracy z Telewizją TVN i ekspozycję w niej swoich zdjęć prezentujących piękno gminy Kobylnica i całej ziemi słupskiej.

Po rozdanych nagrodach organizatorzy, animatorzy i twórcy kultury z powiatu symbolicznie podziękowali staroście Zdzisławowi Kołodziejskiemu i wójtowi Leszkowi Kulińskiemu, wręczając im „Powiatowe Sowy”, symbolizujące mądrość w działaniu i podejmowaniu decyzji. Wręczono im je za skuteczne wspieranie kultury i twórców.

Powiat słupski od czternastu lat przyznaje swoje nagrody twórcom i działaczom kultury. Przyznaje też roczne stypendia dla twórców kultury. Prowadzi Centrum Edukacji Regionalnej - własną samorządową instytucję kultury. Otworzył w siedzibie starostwa Galerię Sztuki Ludowej, w której prezentowane są prace lokalnych twórców. W Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku utworzona została Pracownia Rzeźbiarska Powiatu Słupskiego, w której, pod okiem powiatowego mistrza, rzeźbienia w drewnie uczą się amatorzy rzeźbiarstwa. Od 2011 roku powiat słupski sponsoruje szeroko pojmowaną działalność literacką i pisarską. Jest wydawcą trzynastu obszernych antologii poezji i... trzydziestu indywidualnych tomików poezji(!). Przyczynił się do wydania siedmiu autorskich albumów fotograficznych, jest wydawcą trzech poważnych pozycji książkowych dotyczących zabytków powiatu i dorobku twórczego, przyznał nagrody w wielu konkursach tematycznych o charakterze artystycznym. Od szes-

nastu lat wydaje własne pismo publicystyczne „Powiat Słupski”, od dziewięciu lat ukazuje się w nim stały dodatek literacki „Wieś Tworząca”, w którym umożliwia się druk tekstów amatorom literatury i dziennikarstwa. Wszystko to powiat słupski finansuje z własnych środków.

Z inicjatywy powiatu przybitych zostało dziewięć tablic upamiętniających życie i aktywną działalność lokalnych twórców i animatorów kultury. Należy podkreślić, że dobre serce do kultury i jej twórców mieli wszyscy urzędujący starostowie, skutecznie ją wspierali i wspierają nadal.

Z kolei gmina Kobylnica ma jedno z najpiękniejszych centrów kultury i promocji w Polsce! Ma największy w regionie Disco Hit Festiwal transmitowany ostatnio „na żywo” przez główny kanał telewizji Polsat, jest otwarta na wszystkie propozycje kulturalne. Bardzo szeroko rozwinęła współpracę z gminami partnerskimi w kraju i za granicą. Promuje i udostępnia kulturę na wysokim poziomie. Dzieje się to wszystko przy pełnej aprobachie wójta gminy pana Leszka Kulińskiego - doceniającego znaczenie kultury.

Autorem Powiatowych Sów, które wręczono włodarzom jest Zenon Frąckiewicz z Łupin.

Wśród przybyłych na galę gości byli m.in.: Kazimierz Kleina - senator RP, Czesław Elzanowski, b. członek zarządu województwa pomorskiego, Barbara Dykier - wójt gminy Słupsk i Grzegorz Jaworski - wójt gminy Damnica. Zbigniew Konwiński, poseł na Sejm skierował list do uczestników gali. Życzył w nim nagrodzonym nieustającej wiary i pasji działania dla dobra powiatu.

Galę uświetniły występy: zespołu „Ale Babki” z Kobylnicy, zespołu „Wiśta-Wio” z Potęgowa, Marty Sikory z gminy Kępice i „Kapele z Gminy Damnica”, która promowała swoją najnowszą płytę pt. „Po drugiej stronie okna”. Można było obejrzeć wystawę fotogramów nagrodzonego Witolda Leśniewskiego. Zakończył galę symboliczny toast wzniesiony przez starostę, za pomyślność powiatowej kultury, jej twórców i animatorów.

Jerzy Warciszewski, Słupsk

Kaszubskie śpiewanie

Daliśmy setki koncertów, podziwiali nas i słuchali tysiące ludzi. Istniejemy nadal i chcielibyśmy jeszcze przez wiele lat cieszyć naszym śpiewem i muzyką.



Fot. J. Maziejuk

Moja przygoda z muzyką zaczęła się w 1998 roku w Gminnym Ośrodku Kultury w Smoldzinie, podczas zajęć w Kole Hafciarskim. Na zajęcia uczęszczało piętnaście pań ze Smoldzina, Człuch i Smoldzińskiego Lasu. Wszystkie ciekawe byłyśmy haftu kaszubskiego. Po jakimś czasie przyszedł mi do głowy pomysł, że przecież te nasze spotkania można by umilać wspólnym śpiewaniem. Poparła mnie koleżanka Halinka Wiśniewska. Zaproponowałam, by kobiety przypominały sobie dawne piosenki, jakie kiedyś śpiewały nasze mamy. Ale pomysł ten nie wszystkim się spodobał i mało co, a nasze koło by się rozpadło. Ówczesna dyrektor-

ka Gminnego Ośrodka Kultury, Danuta Grabowska znalazła jednak salomonowe rozwiązanie. Oświadczyła, że koło hafciarskie ma uczyć haftu, a nie śpiewania. Jak chcemy śpiewać to trzeba założyć zespół. Zatrudniony został instruktor muzyczny - Jan Zajkowski - nauczyciel muzyki w miejscowej szkole i tak dwa razy w tygodniu, po dwie godziny w kilka pań zaczęłyśmy uczyć się jeszcze wspólnego śpiewania. Dołączyła do nas sama dyrektorka GOK. Po jakimś czasie doszły jeszcze dwie jej córki - dziewczyny o pięknym głosie, jedna miała narzeczonego grającego na skrzypcach i on też do nas dołączył. Wybraliśmy dla naszego zespołu nazwę

„Rowokół” i zaczęliśmy występować na różnych uroczystościach. Śpiewaliśmy piosenki patriotyczne, ludowe i różne okolicznościowe. Zainteresował się nami Henryk Soja - kierownik Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach i zaprosił na „Czarne Wesele” do Kluk. Tam skonfrontowaliśmy nasze umiejętności z umiejętnościami innych zespołów ludowych. Bardzo spodobał się nam „Słowińcy” z Objazdy. Zaproponowaliśmy współpracę, ale szybko się okazało, że nie jest nam



po drodze. Natomiast mi od tego występu było „po drodze” z trębaczem - Józefem Kurzydło. Zaiskrzyło coś między nami. Długo nie trzeba było czekać, jak staliśmy się małżeństwem. Kapela nasza wzbogaciła się o dobrego muzyka. Niestety, dotychczasowy instruktor odmówił dalszej współpracy. Prosił, by dyrektorka na jego miejsce znalazła kogoś innego. I tak do naszego „Rowokołu” trafił wspaniały akordeonista - Klemens Rudowski ze Słupska. Mieliśmy już dwóch wybitnych muzyków, bo pierwszym był skrzypek Piotr Pędzich - narzeczony jednej z córek Danusi Grabowskiej. Teraz mogliśmy rozwinąć skrzydła. Szybko daliśmy się poznać w wie-

lu miastach Polski. Pojechaliśmy też do Niemiec ze słupskim starostwem. Potem nasze, słupskie Muzeum Pomorza Środkowego zaprosiło nas na wyjazd na Bawarię, na Światowe Dni Kultury. Nagraliśmy pierwszą płytę, którą zasponsorowała nam Wytwórnia Polonia Records w Warszawie. Od niej otrzymaliśmy propozycję wyjazdu do Australii na koncerty dla tamtejszej Polonii, ale nie było nas stać na taką długą podróż.

Mimo że zespół ciągle występował, to z czasem coś zaczęło się psuć. Odeszło kilka osób. Czas pokazał, że ja i mój Józef też musieliśmy podjąć taką decyzję. Nie chcę wyjawiać przyczyny, ale po pięciu latach wielkiego zaangażowania pożegnaliśmy się z „Rowokółem”. Było mi bardzo szkoda tego rozstania, bo to przecież ja byłam pomysłodawczynią naszego wspólnego śpiewania. Po naszym odejściu zespół w niedługim czasie się rozpadł. Mój żal nie trwał długo, bo szybko przyszła myśl, by utworzyć nowy zespół. Józef, związany całe życie z zespołami muzycznymi, znał wielu muzyków. Nawiązaliśmy kontakty i szybko dobraliśmy nowy skład. Po kilku próbach mogliśmy już się pokazać. Nie było nowej nazwy ani też zaproszenia na występy. Ale było lato, czas wakacji i długo się nie zastanawialiśmy, zaprosiliśmy się sami na deptak, do Ustki. Tu zdobyliśmy sobie publiczność. Niektórzy sądzili, że jesteśmy zespołem „Objazda”, tylko w zmienionym składzie. On też bowiem występował w Ustce. Dlatego musieliśmy się jakoś nazwać. Mój Józef zaproponował by była to „Zgoda”, bo grając nie kłócimy się, we wszystkim jesteśmy zgodni. Bardzo mi się ta nazwa spodobała.

Wśród słuchających nas na promenadzie byli czasami też kierownicy ośrodków wczasowych i sanatoriów. Prosiłi, żebyśmy zagrali na wieczorkach tanecznych. Bardzo nas to ucieszyło, ale okazało się, że nie mamy odpowiedniego repertuaru. Na deptaku mogliśmy grać i śpiewać byle co, byleby było głośno i barwnie. To wtedy zdecydowaliśmy się na folklor kaszubski. Był nam najbliższy i mieliśmy już trochę doświadczenia z poprzedniego zespołu. Wybór okazał się trafny, bo po niedługim czasie mieliśmy znowu wiele zamówień na występy. Nawiązaliśmy współpracę z Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim w Słupsku. Jeździliśmy na uroczy-

stości kaszubskie. W Klukach występowaliśmy na „Dniach z muzyką i chlebem”. Podczas jednego z występów podeszła do nas nieznana kobieta i przedstawiła ciekawą propozycję - wyjazdu do Filharmonii Dolnośląskiej, by pod jej patronatem prezentować folklor kaszubski w dolnośląskich szkołach. Nie zaprzepaściliśmy okazji. Przez cztery lata takiej współpracy odwiedziliśmy dziesiątki szkół i daliśmy ponad sto występów muzycznych, podczas których opowiadaliśmy też o zwyczajach kaszubskich, prezentowałam haft kaszubski i czytałam poezję. Swoją akces do zespołu złożyła Danusia Grabowska. Przyjęliśmy ją z otwartymi ramionami. Ostatecznie został ustalony nasz skład. Znaleźli się w nim: Andrzej Konieczny - akordeonista, Józef Kurzydło - instrumenty dęte, Włodek Lauterbach - bęben, Danuta Grabowska - „diabelskie skrzypce” i moja osobna - wokół i „burczybas”. W 2010 roku starosta słupski uhonorował nas nagrodą „Białego Bociana” za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej. W 2012 roku na zaproszenie Polonii Austriackiej wystąpiliśmy w Wiedniu. W 2013 roku, po dziesięciu latach grania w zespole odszedł od nas na zawsze Józef Kurzydło. Wspaniały, dobry, ciepły, lubiany, wybitny muzyk, a dla mnie ukochany mąż. Zachwiało to poważnie naszym zespołem. Nie wiedziałam czy będzie dalej istniał. Myślałam o odejściu, i definitywnym wycofaniu się z działalności. Perswazje kolegów, przekonywania rodziny i znajomych, zatrzymały mnie. Ze ściśniętym z żalu sercem śpiewałam dalej. W miejsce Józefa przyjęliśmy Lucję Kuczborską, pięknie grającą na akordeonie. W 2015 roku otrzymaliśmy jeszcze jeden dowód uznania dla naszej pracy - od starosty słupskiego stypendium, za które mogliśmy zorganizować kilka występów w szkołach i świetlicach wiejskich powiatu słupskiego. Przez trzynaście lat działalności „Zgoda” dostała wiele innych jeszcze dowodów życzliwości, słów uznania i podziękowań - tych pięknych oprawionych w ramki i tych zwyczajnie odręcznie wypisanych. Wszystkie są dla nas ważne! Daliśmy setki koncertów, podziwiali nas i słuchały tysiące ludzi. Istniejemy nadal i chcielibyśmy jeszcze przez wiele lat cieszyć naszym śpiewem i muzyką.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło
Słupsk

Słupski Nikifor

Powrót do wizji uproszczonej w patrzeniu na świat, oglądanie skróconego pierwszego planu i przenoszenie swoistej wrażliwości na tematy obrazów – tak ogólnie mówi się o twórcach obdarzonych innym spostrzeganiem otoczenia.



Prymitywizm – to słowo łacińskie określające sztukę grupy twórców – malarzy stosujących dowolność tematów, czerpanie z obserwacji rzeczywistości i świata własnych sennych marzeń. Jest to bezpośredni stosunek twórcy do świata zewnętrznego. Kierunek ten datuje się na koniec XIX wieku i był związany z niezwykłą twórczością francuskiego malarza naiwnego – Henri Rousseau. Na jej podstawie powstała konieczność wydzielenia

pojęcia sztuki, która nie ma już żadnych związków z tradycyjną sztuką, nawet ludową, ani nie inspirowała się współczesnymi kierunkami artystycznymi.

Ta grupa twórców wywodzi się ze sztuki francuskiej, których tam nazywają malarzami naiwnymi – les peintres naïfs lub malarzami instynktu – les peintres d'instinct. Jeszcze ciekawsze określenia tej grupy artystów posiadają Niemcy, nazywając ich Laienmaler – ma-

larze laicy, zaś Anglicy określają już ich poprawnie jako malarzy, współczesnych prymitywów.

Pojęcia te do końca nie wyjaśniają istoty tej sztuki, tym bardziej, że jej charakter i zakres należy odgraniczyć od sztuki ludowej, dyletanckiej czy amatorskiej. Problem stanowi również ustalenie okoliczności sprzyjających jej rozwojowi i właściwa charakterystyka twórców ją uprawiających. Przedstawicielami polskiego kierunku prymitywizmu są – Teofil Ociepka, który żył w stworzonym przez siebie świecie marzeń, a także malarz łemkowski pochodzenia – Nikifor Krynicki, właściwie Epifaniusz Drowniak. (Pisałem o nim w „Powiecie Słupskim” nr 3-4/2012 „Nikifor Krynicki – prymitywista”).

Do tej grupy malarzy można zaliczyć lokalnego artystę Henryka Jachimka. Życie tego twórcy nie było pozbawione trudnych lat, szczególnie w okresie dzieciństwa. Urodził się w 1943 roku w czasie okupacji w miejscowości Altkarbe, nad Odrą – dziś Stare Kurowo, niedaleko Strzelec Krajeńskich w województwie lubuskim. Tam jego rodzice przebywali na przymusowych robotach w ówczesnej III Rzeszy Niemieckiej.

W tych ciężkich warunkach, dzięki szczególnym okolicznościom, wątłe dziecko uratowała dobra Niemka. O tych fragmentach swojego życia Henryk Jachimek pamięta więcej z opowiadań matki.



Natomiast wyraziście wspomina czas zamieszkania po drugiej wojnie światowej wraz z rodziną w miejscowości Pieńkówko, w gminie Postomino.

Ten okres był pełen wrażeń, które utrwaliły się najpierw w świadomości dziecka, a później w dorastającym młodzieńcu, a związane były z ciężką pracą na gospodarstwie, brakiem ubioru, butów i ciągłym niedostatkiem. Zapisuje się też pamięcią o sielance wiejskiej, opiece nad końmi i pracy na ojcowskim polu oraz ciągłej pomocy przy licznych rodzeństwie i biednej, harującej w gospodarstwie matce oraz ojcu, który dorabiał pracą w miejscowej cegielni.

Naukę Henryk Jachimiek pobierał w miejscowej Szkole Podstawowej w Pieńkowie. Przypomina sobie, że był słabego zdrowia i wielokrotnie opuszczał lekcje. Szkołę ukończył w

śnie nadal wykorzystywał swoje artystyczne umiejętności i wprowadzał do malowanych pomieszczeń różne elementy dekoracyjne.

Od 2006 roku mieszka w Słupsku. - Nie ukończyłem żadnej szkoły artystycznej - mówi Henryk Jachimiek. - Mam spore zaległości i bardzo żałuję, że nie miałem możliwości kształcić swój talent w szkole plastycznej. Dziś dużo czytam i w ten sposób się doksztalcam. Porównuję mnie do Nikifora, ale na ścianie wisi mój mały obraz wykonany inną techniką, naśladujący impresjonistę Cezanna”.

W pamięci Henryka Jachimka istnieją wspomnienia, senne marzenia, które przenosi na płótno. Powstają obrazy z pogranicza rzeczywistości i fantazji, którymi artysta epatuje odbiorcę - wprawia w zdumienie, osłupienie i zadziwia.

poetyckich - trochę dziwny, czasem niesamowity, niekiedy śmieszny i absurdalny, uroczy i wzruszający, prawdziwy realnością naiwnego patrzenia.

Obrazy prymitywne H. Joachimka przypominają malunki dzieci, charakteryzują się deformacją przestrzeni i perspektywy lub jej brakiem, skrajnie subiektywnym punktem widzenia, prostymi technikami oraz olbrzymim przywiązaniem do szczegółu. Pomimo nieporadnej formy, cechuje je niejednokrotnie duża siła wyrazu.

Henryk Jachimiek aktywnie uczestniczy w konkursach plastycznych, plenerach malarskich, w przeglądach ogólnopolskich, wystawach zbiorowych i indywidualnych. Uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych w Polsce oraz za granicą, m.in. w Wilnie, Flensburgu w Niemczech i Egerze na Węgrzech. Dużym uzna-



szesnastym roku życia i rozpoczął naukę zawodu u malarza pokojowego w Darłowie. Był jednocześnie dekoratorem pokojowym, malował zamawiane ozdoby na ścianach.

Do dziewiętnastego roku życia, kiedy dostał powołanie do wojska, pomagał jednocześnie w gospodarstwie w rodzinnym domu. Później dwa lata służył w Ustce, w Wojskach Ochrony Pogranicza. Potem pracował w Słupskim Przedsiębiorstwie Budowlanym w charakterze malarza pokojowego. Następnie - w Państwowej Spółdzielni Spożywców - zajmował się wykonywaniem napisów i szyldów reklamowych. Po pięciu latach wrócił do Pieńkowa.

W 1971 roku Izba Rzemieślnicza w Koszalinie, po zdaniu egzaminu przez Henryka Jachimka, nadała mu tytuł mistrza malarskiego. Malował pomieszczenia mieszkalne. Jednocze-

Z zaciekawieniem obejrzałem ostatnią wystawę Henryka Jachimka, zorganizowaną w restauracji „Anna de Croy” w Słupsku. Wyeksponowano na niej dwadzieścia pięć obrazów wykonanych techniką olejną, w większości dużych formatów. Na jednym z nich autor przedstawia pejzaż nadmorski odbiegający stylem od uprawianego przez prymitywistów. Na pozostałych dwudziestu czterech obrazach mamy do czynienia już z typowym malarstwem naiwnym, prymitywnym. W przygotowanym katalogu Henryk Jachimiek nazywany jest Słupskim Nikiforem. Jego pejzaże, sceny wiejskie, a szczególnie malowane konie przypominają realizm szczególnego typu - rysunków dziecięcych, w którym elementy z obserwacji rzeczywistości mieszą się z sennymi marzeniami. Jest to świat budowany w sposób wyjątkowy - z elementów

niem cieszyły się jego obrazy posłane na ogólnopolskie konkursy malarskie im. Teofila Ociepki w Bydgoszczy. W latach 1998, 2000, 2002, 2004 i 2008 w konkursie tym otrzymywał nagrody i wyróżnienia.

Ponadto wielokrotnie zdobywał też nagrody w organizowanym przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku Konkursie Sztuki Ludowej, Rękodzieła i Plastyki Amatorskiej Pomorza Środkowego. W 2009 roku otrzymał Nagrodę Prezydenta Słupska w ponadregionalnym II Konkursie Plastycznym „Niekontrolowany Obszar Wrażliwości”.

Swoją pierwszą indywidualną wystawę miał w 1975 roku w Słupskim Ośrodku Kultury. W 2012 roku pokazał swoje prace w Centrum Kultury i Sportu w Postominie oraz w Muzeum Zachodnio-Kaszubskim w Bytowie.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Znakomite koncerty

Wirtuoz organów Bogdan Narloch oraz afrykański, szkolny chór chłopięcy Clifton College Boys Choir pod dyрекcją Gerard'a Di Toit wystąpił na inauguracji 34. Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w kościele pw. św. Jacka w Słupsku. Zabrakło miejsc siedzących, a i stojących pozostało niewiele.

Wcześniej w kościele odbyły się uroczystości związane z jubileuszem 50-lecia kapłaństwa księdza Jana Gariatowicza. Przybyłych powitał ksiądz Józef Domińczak - nowy proboszcz parafii pw. św. Jacka w Słupsku. - Bardzo serdecznie chcę was wszystkich przywitać na tej naszej wspaniałej uroczystości, którą przeżyliśmy, a teraz czeka nas ciąg dalszy wspaniałych przeżyć duchowych, które będą płynąć ze słuchania wspaniałej muzyki organowej i kameralnej. Cieszę się, że możemy w naszym kościele przeżywać takie piękne chwile, że możemy się tutaj gromadzić, być razem w naszej świątyni, gdzie króluje Jezus Chrystus, ale dzisiaj też króluje piękna muzyka. Witam serdecznie też wszystkich artystów, którzy dzisiaj będą tutaj występować.

Następnie głos zabrał Mieczysław Jaroszewicz - prezes Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego: - Chcę wszystkich przywitać w imieniu organizatorów koncertów muzyki organowej i kameralnej od trzydziestu czterech lat organizowanych przez Słupskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne przy udziale parafii pw. św. Jacka. Od 1982 roku organizowane są słupskie koncerty kameralne i organowe. W tym roku mamy między-

narodowy festiwal, jako że z siedmiu krajów z Europy i Afryki gościmy artystów. Chciałbym podziękować głównemu sprawcy tego zdarzenia - panu Bogdanowi Narlochowi, który jest nie tylko znakomitą artystą, ale także świetnym organizatorem koncer-

tów organowych. Zachęcił do występów w Słupsku najlepszych mistrzów organów. Jest to także przykład, że możemy razem z województwem zachodniopomorskim, z naszymi przyjaciółmi z Koszalina wspólnie zrobić coś dobrego dla melomanów. Chwa-



Fot. M. Smoliński

ła za to naszym kolegom zza miedzy. Chciałbym też podkreślić, że pieniądze na organizację tegorocznego festiwalu otrzymaliśmy od władz Słupska, województwa pomorskiego, starostwa słupskiego i gminy Słupsk. Wszystkim bardzo pięknie za to dziękuję. Podziękowania kieruję też do księdza proboszcza Józefa Domińczaka, który kontynuuje piękne tradycje naszego dzisiejszego bohatera, księdza Jana Giriutowicza, lubi muzykę i ją wspiera. Przez wiele lat koncerty nasze odbywały się przez cały sezon letni. Obecnie mamy ich o połowę mniej, ale za to same znakomite. Może w przyszłym roku uda się nam zdobyć większe poparcie i będziemy mogli, jak dawniej, przez cały sezon turystyczny prezentować prawdziwą muzykę organową i kameralną - wartościową pod każdym względem.

Informacje o wykonawcach przedstawił Andrzej Zborowski: - Jestem zaszczycony, że mogę powitać państwa na tegorocznym, trzydziestym czwartym, rozpoczynającym się dzisiaj, Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w Słupsku. Dziś mamy bardzo uroczysty dzień, bo to jubileusz pięćdziesięciolecia służby kapłańskiej, jakże zasłużonego księdza prałata Jana Giriutowicza, który tak opiekował się troskliwie muzyką festiwalową. Bardzo cieszymy się, że jego następca, ksiądz Józef Domińczak to kontynuuje i mamy tak bardzo ważne wsparcie tutejszej parafii. To bardzo ważne! Jeśli chodzi o tegorocznych wykonawców, pierwszym jest Bogdan Narloch, to rzeczywiście człowiek instytucja. Wielki artysta organów, który koncertuje po całym świecie - nie tylko w Europie, ale także daleko poza nią. Dawał recitale na wielkich organach moskiewskich, na Uralu, za Uralem, nad Bajkałem, wszędzie był oklaskiwany jako wielki wirtuoz, a poza tym jest teoretykiem, naukowo zajmuje się budową organów, sprowadza do Polski różne znakomite instrumenty i ma ogromnie bogaty repertuar wirtuozowski. Podziwiam jego pamięć, jego zdolności manualne, ale nie tylko, bo - jak wiadomo - na organach gra się na klawiaturach manualnych - ręcznych, na klawiaturze pedałowej - nożnej i trzeba jeszcze rejestrować. Ponieważ czasami zabraknie trzeciej ręki do wyciągania rejestów - ktoś musi pomagać. Gra na organach jest niezwykle ciekawa także wizualnie, ale zazwyczaj

jej nie widzimy, bo organy są przecież umieszczone wysoko na chórach. W Słupsku problem ten wspaniale rozwiązano i na ekranie można obserwować poczynania muzyków.

Bogdan Narloch rozpoczął tegoroczny festiwal organowy muzyką dawną z XVI wieku, pochodzącą ze zbioru tzw. tabulatury oliwskiej, gdzie odnaleziono bezcenny zbiór utworów zapisany jeszcze nie nutami, ale innym pismem, które trzeba było przetranskrybować na pismo nutowe.

- Odświeżymy sobie tamte dawne czasy, słuchając trzech tańców - zachęcał A. Zborowski. - Pierwszy - energiczny i radosny, drugi - wolniutki i cichutki, tak troszkę przypominający naszego smętnego kujawiaka, chociaż nie w tym metrum, później umiarkowany i żywy - trzeci. A na koniec jako czwarty powtórzy się pierwszy.

Po koncercie organowym wystąpił Chór Clifton School Boys, który zaprezentował pieśni sakralne oraz muzykę, śpiew i taniec rodem z Afryki, a także znane utwory muzyki popularnej śpiewane na głosy.

- Clifton School Boys reprezentuje jedną z najbardziej prestiżowych, prywatnych szkół dla chłopców w regionie KwaZulu-Natal w Południowej Afryce. W placówce funkcjonuje: oddział przygotowawczy, szkoła podstawowa i średnia. W sumie nauką objętych jest tysiąc stu chłopców. Muzyka odgrywa w szkole bardzo ważną rolę - przybliża wykonawcę A. Zborowski. - Uczniowie są zachęceni do podejmowania indywidualnej nauki gry na instrumentach, wchodzących w skład orkiestry symfonicznej, czy też występujących w zespołach jazzowych i muzyki popularnej. Od ósmego roku życia objęci są indywidualną nauką śpiewu. Dwa istniejące w szkole chóry, przygotowawczy i College Choir, prowadzi Gerard du Toit - dyrektor muzyczny Clifton School.

Kameralny College Chór, składający się z chłopców w wieku 14-18 lat, odbywa swą pierwszą artystyczną podróż po Polsce. Weźmie udział jeszcze w innych koncertach festiwalowych, a także w warsztatach chóralnych w Bydgoszczy. Jak podkreślił A. Zborowski - jego dyrygent Gerard du Toit należy do wyróżniających się postaci w świecie chóralnym. Ukończył studia dyrygenckie na Uniwersytecie w Pretorii w Afryce Południowej. Od 2015 roku pełni funkcję dyrektora muzycznego w Clifton School.

- W czasie kolejnych koncertów w ramach 34. Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w Słupsku - zapowiedział A. Zborowski - przez pięć kolejnych czwartków, to jest do jedenastego sierpnia zaprezentują się jeszcze: Il Basso - zespół wokalistów Deutsche Oper w Berlinie, Zespół Muzyki Dawnej Jerycho, Męski Zespół Muzyki Cerkiewnej Kalophonia ze Lwowa, Chór Męski Słowiki 60 im. Jana Szyrockiego oraz Żeński Zespół Wokalny Art Vocal Ensemble - Armenia.



Fot. M. Smoliński

A. Zborowski podkreślił, iż niewątpliwą atrakcją słupskich koncertów są barokowe organy ufundowane przez ostatniego Gryfitę, księcia Ernesta Bogusława de Croy. W latach 2001 - 2002 Stowarzyszenie Rekonstrukcji Organów Kościoła Zamkowego, powołane przez Janusza Dudzińskiego i pod jego przewodnictwem, dokonało ich rekonstrukcji. Dzięki temu prezentują one swoje piękne barokowe możliwości na kolejnych koncertach.

Mariusz Smoliński, Słupsk

Saudek niemoralny?

Jan Saudek, czeski malarz, grafik i fotograf o światowej sławie pokazał po raz pierwszy swoją twórczość w Polsce. Przyjechała prosto z Nowego Jorku.



Specjalnie pojechałem do Kielc, żeby zobaczyć wystawę, tego wyjątkowego fotografa, unikalne prace, ujawniające kulisy jego życia i artystyczne pasje. W galerii „Winda” na specjalne zaproszenie prezydenta Kielc został zrealizowany projekt pt. „Saudek”. Wywołał sensację i entuzjazm zwiedzających.

Artysta jest podziwiany nie tylko za profesjonalizm, ale również za tematykę prac - przejmujących aktów kobiecych oraz za odkrywanie „goliżny”. Działa na granicy erotyki i pornografii. Skończył osiemdziesiąt lat i prezentuje na zdjęciach głównie rozebrane kobiety, które odegrały ważną rolę w jego życiu osobistym.

Był wielokrotnie żonaty, ostatnio, mimo wieku, doczekał się kolejnego syna. Wystawa prezentuje pełny dorobek artysty, od lat pięćdziesiątych do obecnych. Ostatni jego okres jest najbardziej kontrowersyjny. Składają się nań zdjęcia pojedynczych portretów i fotogramy cykli tematycznych. Akty kobiece dominują. Podziwiamy ujęcia pokazujące piękno kobiecego ciała na tle odrapanego pokoju, otwartego okna, czasem z partnerem. Ale interesujące są również fotograficzne przemiany „modelek” od podlotka, dziewczyny dojrzewającej,

aż do kobiet starszych, pokazanych w określonych profesjach.

Dominuje nagość. Piękno i brzydota przejawiają się wzajemnie. Inne zdjęcia to subtelne odkrywanie osobliwego uroku kobiety i jej różnorodnych uczuć. Oglądamy próbę pokazania wdzięku, niepokieszenia, miłości, bogactwa i... nędzy, nadziei i rozczarowania, radości i smutku.

Każdego roku autor wykonuje niezliczoną ilość ujęć. Temat dziecka stanowi odrębność na wystawie. Wyeksponowane scenki, utrwalone na fotografii, zawsze wzruszają. Pokazują samotność i opiekuńczość wobec dziecka. Za zdjęcie pt. „Życie, które mi się najbardziej podoba” (powinno mieć tytuł „Ojcowstwo”) autor był wielokrotnie nagradzany. Mówiąc w



największym skrócie - przedstawia miłość ojca do nowonarodzonego syna.

Jan Saudek jest obecnie najbardziej rozpoznawalnym na świecie czeskim fotografem. Ma ponad czterysta wystaw, na wszystkich kontynentach. W 1972 roku znalazł „swoją ścianę”, nie mając pojęcia, jak ważna i znacząca okaże się dla niego w przyszłości. Motyw odrapanej ściany piwnicy pojawia się dziś na wielu jego fotografiach. Na jej tle komponuje swoje fantasmagoryczne akty. Pozują mu przeważnie kobiety dojrzałe, często otyłe, czasem nawet stare lub kalekie. A on potrafi wydobyć z nich piękno.

Twórczość Jana Saudka jest często postrzegana i określana mianem trupizmu lub wulgarności. Podobnie, jak Helmut Newton, portretuje on te same osoby w ubraniu i bez ubrania. Przykładem jest dyptyk „House Wife” z 1984 roku. Artysta napisał nawet książkę pt. „Życie, miłość, śmierć i inne błahostki”, wydaną w 1991 roku w Amsterdamie przez Art Unlimited. Jego prace są kultowe, chociaż krytycy mają trudność, jak je klasyfikować. Jedno jest pewne, pozwoliły one przełamać stereotypowe postrzeganie człowieka.

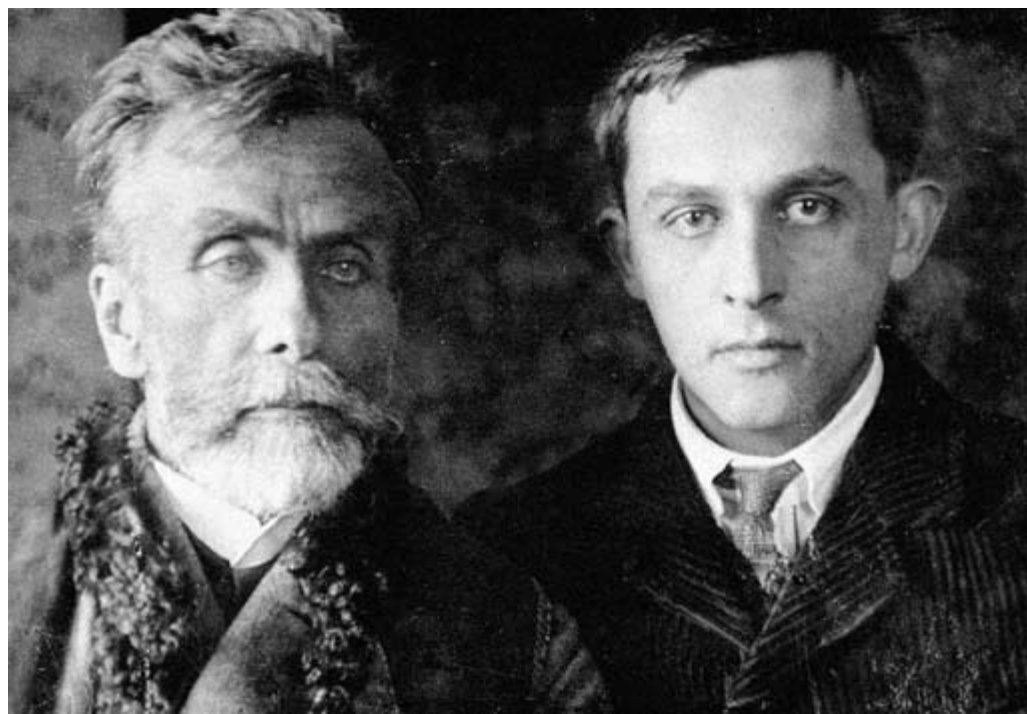
Jan Saudek jest artystą kontrowersyjnym, przez jednych uwielbianym, przez innych prawie znienawidzonym za „niemoralne” ujęcia.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Twórca z Zakopanego

Dziela Stanisława Witkiewicza są godne przedstawienia jako ponadczasowe i mają szczególne wartości dla kultury narodowej. Ten wielki artysta żył pomiędzy dwiema epokami: pozytywizmem a Młodą Polską, a jego malarstwo to realistyczne, wybitne obrazy i modernistyczne zamierzenia.



Na zakończenie roku jubileuszowego (rok 2015 był rokiem Witkiewiczów) w dniach 14-16 października odbyła się międzynarodowa konferencja pt. „Wokół Witkiewiczów”, zorganizowana przez Muzeum Tatrzańskie im. dr. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Odbyła się dla uczczenia setnej rocznicy śmierci ojca i sto trzydziestej rocznicy urodzin syna. Podzielona była na sesje wielotematyczne, w których dominowała postać syna - „Witkacego”. Natomiast zadaniem referentów było również przybliżenie postaci ojca, przedstawienie wielowątkowej działalności Stanisława Witkiewicza, znaczenia jakie odegrał w malarstwie i sztuce oraz w literaturze i prozie.

Obraz świata w twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza był przedstawiany wielowymiarowo, z różnych perspektyw i dziedzin twórczości. Wielu referentów nawiązywało w swoich pracach do oceny dokonania Stanisława Witkiewicza dla kultury polskiej. Konferencja przy-

bliżyła wielką postać czołowego artysty tamtych lat, który był zafascynowany góralszczyzną, folklorem, etnografią. Szerszemu odbiorcy jest mniej znany od swego syna - „Witkacego”, jednak stworzył wartości wyjątkowe.

Stanisław Witkiewicz żył w latach 1851 - 1915, w trudnych czasach dla Polski, będącej pod zaborami. Był wychowany na tradycjach powstań narodowych, prześląknięty wielkim patriotyzmem, wyczekiwał na odzyskanie niepodległości przez Polskę. Po studiach w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu i Monachium zamieszkał w Warszawie. Został wziętym architektem, malarzem, pisarzem i teoretykiem sztuki. Był rówieśnikiem czołowych pozytywistów warszawskich. Miał typowe dla tej grupy pochodzenie i biografię. Był jednak przedstawicielem pokolenia żyjącego klęską powstania styczniowego i przyjaźnił się z wieloma jego uczestnikami. Wywodził się z tradycji romantycznego patriotyzmu, był też ważną postacią życia kulturalnego

i artystycznego pozytywizmu, ale także następnej formacji intelektualnej - Młodej Polski. W obie wniósł swój twórczy wkład, z częścią poglądów wyrażanych przez te ugrupowania się nie zgadzał, z innymi polemizował.

Naukowcy na konferencji charakteryzowali S. Witkiewicza jako wszechstronnego, niezależnego artystę, wielkiego patriotę i moralistę oraz twórcę nowoczesnej teorii sztuki. W 1886 roku po raz pierwszy pojechał do Zakopanego, a w 1890, ze względu na pogłębiającą się gruźlicę, osiadł i zamieszkał z rodziną w Zako-

a obraz „Halny” jest artystycznym przekazem i prawie fotograficznym odzwierciedleniem żywiołu wiatru wiejącego w Tatrach. Od 1904 roku S. Witkiewicz wydawał pismo „Styl Zakopiański”. Jako krytyk i teoretyk sztuki zajmował się ustalaniem kryteriów do obiektywnych ocen i poszukiwania właściwych narzędzi rozpoznawczych. Ciekawe są jego artykuły, w których wymienia narzędzia, jakie ma do dyspozycji krytyk sztuki: analizę harmonii barw, logiki światłocienia, doskonałości kształtu i kompozycji.

Kulturotwórcze zaangażowanie Witkiewicza w działalność z zakresu teorii sztuki, szybko zostało docenione i urosło do rangi autorytetu moralnego ówczesnego świata artystycznego.

Z zaciekawieniem rozpocząłem studiowanie cyklu reportaży o tematyce tatrzańskiej zamieszczonych w książce „Na przełęcz. Wrażenia i obrazy z Tatr” z 1891 roku, którą drukował „Tygodnik Ilustrowany” już w latach 1889 - 1890, a teraz ukazało się jej wznowione wydanie z okazji „Roku Witkiewiczów”, ozdobione 135. drzeworytami autora. To monumentalne dzieło literackie, etnograficzne, kronikarskie, wzbogacone wątkami gwary i kultury góralskiej, przekazami opisów pierwszych ścieżek wysokogórskich i ich górskich przewodników stanowi wartość nieprzemijającą i ponadczasową. Mimo że upłynęło już grubo ponad sto lat od pierwszego wydania tej książki, to została ona niemal natychmiast wykupiona. Ta ideowa książka Witkiewicza, jak i pozostałe, np. „Po latach” z 1905 roku, czy zbiór nowel „Z Tatr” z 1907 roku, dają nam możliwość poznania historii, tradycji, gwary tego niepowtarzalnego ludu.

Możemy się zastanawiać, co zauroczyło Witkiewicza w kulturze Podhala, Tatr, Zakopanego. Było to na pewno piękno bezwzględne; przyroda tatrzańska, górale, ich sztuka architektoniczna i zdobnicza. Autor w opisach tatrzańskiej przyrody nie ustępuje Mickiewiczowi jako kolorystę krajobrazu. Słowami maluje obrazy gór, dzikiej przyrody w zmieniającym się świetle pór dnia i roku, przedstawia różnorodność pejzażu, jego majestat i autonomiczność. Górale są dla artysty najważniejsi z ich odrębną kulturą, etyką i obrzędowością. I są przedmiotem podziwu. Witkiewicz sam nadmienia, że ówczesna skłonność do zbliżenia się z ludem znajdowała tu doskonały grunt; łatwiej było bratać się z dumnymi i hardymi góralami niż z pokornymi, ciemnymi chłopami z nizin. Przejawia przy tym sporą wnikliwość obserwacji. Oprócz egzotycznej urody tego świata widzi także brud i nędzę, fatalne warunki sanitarne, kontrast między izbą paradną a izbą czarną, w której toczy się codzienne życie wśród zwierząt i kadzi. Ale widzi też w brudnych chałupach zadziwiającą sztukę zdobniczą, dzięki której najbanalniejszy przed-

panem. Był zafascynowany podhalańskim rzemiosłem i sztuką ludową. Po aktywnym okresie warszawskim, rozpoczął nowy rozdział swojego życia, jako malarz, pisarz i działacz społeczny związany z Podhalem, Tatrami i góralszczyzną.

Artysta był całkowicie oddany góralszczyźnie i pasjonował się podtatrzańskim folklorem, który przeniknął do jego wyobraźni. Na tej podstawie stworzył normy „stylu zakopiańskiego” w architekturze i sztukach użytkowych. Styl ten został przyjęty entuzjastycznie i określony jako narodowy, obejmujący nie tylko architekturę, ale też rzemiosło artystyczne i różne dziedziny sztuki. Według projektów architektonicznych Witkiewicza powstały m.in. zakopiańskie wille: Koli-ba, Pepita, Pod Jedłami, Rialto, Oksza, Zofiówka, kaplica na Jaszczurówce. W stylu zakopiańskim powstały także budynki na obszarze całej ówczesnej Rzeczypospolitej, m.in. kamienica w Warszawie przy ulicy Chmielnej.

Na konferencji specjaliści dokonali analizy twórczości malarskiej i dorobku literackiego Witkiewicza. Książka „Na przełęcz” należy do najwybitniejszej prozy tatrzańskiej,

Witkiewicz był zwolennikiem malarstwa realistycznego, choć realizm traktował dość elastycznie, jednocześnie akceptując tendencje impresjonistyczne i symbolistyczne. Pisał: „...sztuka przedstawia rzeczywistość, sztuka nie jest naturą. Środki, którymi wywołuje ona w umyśle ludzkim wrażenie, muszą być często inne niż w naturze, lecz samo wrażenie dzieła sztuki musi być prawdziwym jak wrażenie odbierane od natury. Dlatego krytyce artystycznej konieczna jest znajomość psychologii, aby zrozumieć rodzaj wrażliwości zmysłowej i stan ducha artysty. Analiza psychologiczna nie opiera się na jakichś elementach zewnętrznych; jej przedmiotem jest samo dzieło.”

Dalsze wypowiedzi Witkiewicza dotyczyły: barwy, światła, cienia i kształtów, pojedynczych tonów i ich harmonii, logiki światłocienia. Zdaniem artysty „są to wszystko środki artystyczne, pierwiastki, z których się składa artystyczna strona obrazu, które jedynie i stanowczo mówią o sile talentu i na których tylko można zbudować sąd, choćby w przybliżeniu ścisły i prawdziwy, o talencie i indywidualności artysty.”



miot jest arcydziełem. Obserwuje, jak początkowa bezinteresowna, wzajemna fascynacja „panów” i ich przewodników, stopniowo przekształca się w interes: każda strona chce drogo sprzedać i tanio kupić. Charakteryzuje postacie ze świata zakopiańskiego, ale pieczołowicie przybliża barwne portrety tatrzańskich przewodników, baców, juhasów i wiejskiej biedoty. Przywołuje osoby tatrzańskich pionierów: Tytusa Chałubińskiego i ks. Józefa Stolarczyka. Uwiecznia nieśmiertelną postać Sabalę, zbójnika i pieśniarza (wówczas już mocno sta-

nowi ważną część energii społecznej, spowodowało przesunięcie jego uwagi na ogólne problemy społeczne. Jednak dramatycznie pogarszający się stan zdrowia zmusił go do opuszczenia Zakopanego w 1908 roku i zamieszkania w miejscowości Lovran nad Adriatykiem. Z tego okresu datuje się szczególnie bogata korespondencja, która stanowi ważną część spuścizny po Witkiewiczu. Jego prywatna opublikowana korespondencja liczy ponad dwa tysiące listów. Pisał do rodziny, przyjaciół, a najczęściej do syna. Z tych listów dowiadujemy się o istnie-

„Mój złoty”, „Mój najdroższy”. Niestety, swoje listy Witkacy zniszczył. Ojciec pisze o wszystkim: o sprawach prywatnych, o swoim otoczeniu, o sztuce, polityce i moralności. Głęboka miłość nie słabnie nawet wtedy, kiedy między ojcem i synem pojawiają się rozdziewki dotyczące pojmowania sztuki, uczuć patriotycznych, stosunku do innych, relacji z kobietami. Witkacy odrzuca ojcowską koncepcję realizmu w sztuce, jej misję narodową i wymóg zaangażowania społecznego. Ojciec, zwolennik wolności w indywidualnym rozwoju, usiłuje jednak



rego) i ojca chrzestnego syna Stasia. Zapisuje jego gawędy, zauroczony jest jego językiem, który uważa za równy językowi Homera.

Dla Witkiewicza najważniejsze postacie ówczesnego Zakopanego to Chałubiński i Sabala. którzy są dla niego symbolem połączenia przeszłości i przyszłości. Tak o nich pisze: „Jeden jest blaskiem wschodu nowych czasów, drugi ostatnim odbłyśkiem zachodu dawnych (...), ci dwaj tak od siebie dalecy, tak odmiennych losów i świata ludzie (...), tak dobrze się rozumieli i tak rozumnie się uwielbiali.”

Silne zainteresowanie Stanisława Witkiewicza sztuką ludową, jako nośnika więzi narodowej z ludem, która

jać wspaniałej więzi między ojcem, a synem. Ukochany Staś jest wspomniany jak dorastał pod wnikliwym okiem ojca w Zakopanem, który zabiegał o to, aby do chrztu trzymali go Modrzejewska i Sabala, aby edukację pobierał w domu, przy udziale przychodzących nauczycieli. Cały czas starał się sam kształtować zainteresowania artystyczne syna, wysyłał go na plenery gdy miał piętnaście lat, a później z oburzeniem przyjął wiadomość o tym, że zapisał się na Akademię w Krakowie.

Korespondencja zaczyna się w 1900 roku i jest prowadzona do końca życia Witkiewicza. Listy są pełne miłości, zwraca się w nich do syna:

jeszcze jakoś wpływać na syna zgodnie ze swoim kodeksem wartości. Listy stanowią nieoceniony dokument epoki, cenny przyczynek do poglądów Witkiewicza i dają obraz mądrego, szlachetnego człowieka i kochającego ojca.

Należy jeszcze przypomnieć najważniejsze pozycje piśmiennictwa, które obrazują wielki dorobek duchowy Stanisława Witkiewicza. Są to: „Pisma tatrzańskie”, t. 1-2 (Kraków 1963), „Pisma zebrane”, t. 1-3 (Kraków 1970 - 1974), „Listy do syna” (Warszawa 1969), „Listy Stanisława Witkiewicza i jego korespondentów” (Kraków 1979).

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Kielce urzekają

Na ziemi słupeckiej, a szczególnie na słupeckich wsiach, najwięcej pierwszych osadników po wojnie przybyło z obecnego województwa świętokrzyskiego. To im szczególnie poświęcam i przybliżam współczesne oblicze regionu i miasto Kielce, które łączy tradycję z nowoczesnością.

Region ten wielokrotnie mijalem, Raby dotrzeć na bezdroża Gór Świętokrzyskich. Te najstarsze góry w Polsce zawsze mnie zachwycały swoją budową, kształtem i przyrodą. Jest tu słynna puszcza jodłowa, o której pięknie pisał Stefan Żeromski, a utworzony w 1950 roku jeden z najstarszych parków narodowych obejmuje najważniejszą osobliwość Gór Świętokrzyskich - występujące pod szczytami powierzchnie pokryte kwarcytowymi głazami, porośnięte jedynie mchami i porostami.

Stolica regionu - Kielce od dawna są miastem wojewódzkim i tworzą sporą już, liczącą prawie 290 tys. mieszkańców aglomerację. Miasto przecina niewielka rzeka Silnica, która jest prawostronnym dopływem Bobry i została wykorzystana jako teren rekreacyjno - turystyczny. Z pozyskanych środków zewnętrznych, na cieku i terenach towarzyszących, zostały pobudowane nowoczesne tarasy nadrzeczne, bulwary, mostki romantycz-

ne i weneckie, lokale reprezentacyjne, ogródki wiedeńskie. Wzdłuż cieku biegną ścieżki: spacerowa i rowerowa - w ciekawie ukształtowanej architekturze ogrodowej. Ta niedawno zrealizowana inwestycja może stanowić przykład dla wielu miast, które nie doceniają posiadania cieku wodnego, czy rzeki.

Wykorzystuje też dużą deniwelację terenu charakteryzującą się znaczną różnicą poziomów. W kilku miejscach zostały pobudowane estrady widowiskowe na organizację imprez plenerowych, festynów, pikników. Najpiękniejszy jest amfiteatr zbudowany w Kadzielni, położony w miejscu wyeksploatowanych kamieniołomów, przygotowany do przeprowadzania gigantycznych imprez.

Najważniejszą ulicą jest ulica Henryka Sienkiewicza, przebiegająca przez całe centrum miasta. Łączy dworzec kolejowy, aż do kresu historycznych granic miejskiej aglomeracji. Jest to długi ciąg, na którym i w jego najbliższym sąsiedztwie koncen-

truje się życie miasta. Ulica ta wytyczona została jeszcze w latach dwudziestych XIX wieku i była nazwana ulicą Konstantego, a później Pocztową. Dziś jest główną ulicą miasta, wyłączoną z ruchu kołowego. Znajduje się przy niej wiele zabytkowych budowli, m.in. hotele Wersal i Bristol, Teatr im. Stefana Żeromskiego, a także będący przykładem architektury secesyjnej - budynek Banku Gospodarki Żywnościowej.

Współczesne Kielce to duży ośrodek handlowy i przemysłowy. W ostatnich latach powstały tu trzy galerie handlowe: Centrum Radońska, Pasaż Świętokrzyski i Galeria Echo. Ta ostatnia, po zakończonej w 2011 roku rozbudowie, stała się największą w Polsce pod względem liczby sklepów. W 2012 roku otwarta została Galeria Korona, a planowana jest jeszcze budowa Centrum Plaża, przy głównym deptaku miasta (ulica Sienkiewicza), przy którym znajduje się też wiele domów handlowych oraz wiele mniejszych sklepów, butików i lokali usługowych. Oprócz centrów handlowych w mieście funkcjonują dwa targowiska miejskie, a także kilka mniejszych targowisk położonych przy osiedlach mieszkaniowych.

Gospodarka regionu świętokrzyskiego bazuje głównie na przemyśle wydobywczym i produkcji materiałów budowlanych. Istotną rolę odgrywają również przemysły: metalurgiczny, maszynowy, precyzyjny i spożywczy. Rozwój wielu dziedzin gospodarczych w województwie wspierany jest przez Specjalną Strefę Ekonomiczną „Starachowice”, pełniącą ważną rolę w aktywizacji gospodarczej regionu. Obejmuje ona także Kielce, które są również dużym ośrodkiem naukowym, o czym świadczą istnienie aż dwunastu szkół wyższych. Największe to: Uniwersytet Jana Kochanowskiego, Politechnika Świętokrzyska, Świętokrzyska Szkoła Wyższa, Wszechnica Świętokrzyska, Wyższa Szkoła Administracji Publicznej i Wyższe Seminarium Duchowne.

Do najważniejszych zabytków należy Barokowy Pałac Biskupów Krakowskich z lat 1637 - 1641 - przykład polskiej rezydencji z epoki dynastii Wazów. Pomimo licznych przekształceń dokonywanych w XIX wieku przez rosyjskiego zaborcę, zachował on pierwotną bryłę, dekorację elewacji oraz oryginalny wystrój większości wnętrz. Od 1975 roku mieści się w nim Mu-

zeum Narodowe, a na jego tyłach został usytuowany typowy Ogród Włoski. Z zabytkowych kościołów wyróżnia się Bazylika Katedralna Wniebowzięcia NMP, wzniesiona w 1171 roku. Wielokrotnie przebudowywana w XVI, XVII i XIX wieku uzyskała wygląd wczesnobarokowej, trójnawowej bazyliki.

Do zabytków należy też Kościół Świętej Trójcy wybudowany w latach 1640 - 1644, którego wyposażenie pochodzi głównie z XVIII wieku. Kościół i klasztor na wzgórzu Karczówka z lat 1624 - 1631 od 1957 roku w swoim posiadaniu mają Pallotyni. Ciekawy jest też neogotycki pałacyk Tomasza Zielińskiego - wielkiego orędownika kultury, w którym znajduje się Dom Środowisk Twórczych. Po przejściu ulicy Sienkiewicza dojdzie się do Kieleckiego Centrum Kultury - imponującego obiektu zbudowanego na wzór Teatru Muzycznego w Gdyni - o modernistycznej architekturze. Działa ono od 1992 roku i mieści się w nim wiele instytucji kulturalnych.

W powojennej historii Kielce zapisały się tragicznym wydarzeniem, tzw. pogromem kieleckim - mordem dokonany na społeczności żydowskiej. W tym roku mija siedemdziesiąta rocznica tych tragicznych wydarzeń. Z Kielcami wiąże się też głośna sprawa biskupa Czesława Kaczmarka, skazanego przez władze komunistyczne na długoletnie więzienie za rzekome szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych oraz Stolicy Apostolskiej, faszyzując życia społecznego i kolaborację.

Pod koniec czerwca, w pierwszy weekend wakacji odbywają się „Dni Kielc”. Tegorocznym nadano hasło „Wokół Sienkiewicza”, bo Senat RP ustanowił rok 2016 Rokiem Henryka Sienkiewicza. Dlatego na wszystkich estradach miasta czyta się utwory noblisty. Odbywają się spektakle teatralne. Miejska Biblioteka Publiczna i Muzeum Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku organizują 24-godzinne czytanie powieści noblisty. Odbywają się maratony filmowe, wernisaże, pokazy multimedialne, warsztaty plastyczne, koncerty, występy kabaretów. Przez cały weekend na kieleckim deptaku odbywa się też jarmark.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Ogniomistrz Roman

Prawie całe swoje życie jest aktywnym strażakiem - ochotnikiem. W uznaniu zasług dla umacniania Związku OSP otrzymał najwyższe wyróżnienie - Medal Honorowy im. Bolesława Chomicza.

Druh Roman Wilkos, bo o nim mowa, jest wieloletnim prezesem Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej we Wrzącej. W straży działa już ponad pół wieku, wstąpił w szeregi ochotników w 1964 roku, kiedy miał trzynaście lat. Komendantem OSP we Wrzącej był wówczas Stanisław Wędzlewski, straż miała na swoim wyposażeniu bojowego Stara 25-GBA i pierwszą drużynę kobiecą. Swoją przygodę ze strażą zawdzięcza sąsiadowi, który był też strażakiem, nie miał swoich dzieci, wielokrotnie zabierał go do wozu strażackiego i opowiadał o swojej pracy. W ten sposób zaszczepił w nim chęć bycia strażakiem.

W 1973 roku, po śmierci komendanta Stanisława Wędzlewskiego, we Wrzącej wybrano nowy zarząd OSP. Roman Wilkos, po niespełna dziesięciu latach służby, został zastępcą naczelnika OSP. Po kolejnej zmianie zarządu w listopadzie 1975 roku został wiceprezesem i naczelnikiem OSP. W 1982 roku obowiązki prezesa Zarządu przejął Ryszard Konieczny - ówczesny kierownik PGR-u, a naczelnikiem ponownie został Roman Wilkos. W tym czasie do kasacji musiał pójść bojowy Star i trwały intensywne starania o uzyskanie nowego wozu. Po licznych zabiegach jednostka w 1989 roku otrzymała w końcu z Państwowej Straży Pożarnej w Słupsku Jelcza GBAM. Jego kierowcą został Franciszek Strzabała. Przekazany pojazd wymagał gruntowych napraw. Strażacy jednak sami go wyremontowali i wyposażyli w niezbędny sprzęt gaśniczy.

W październiku 1994 roku, w obecności władz samorządowych uroczystie otwarto nową remizę OSP we Wrzącej. 5 lutego 1999 roku naczelnik druha Roman Wilkos został odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi, a 2 października jednostka OSP otrzymała sztandar. Dwa lata później Ochotnicza Straż Pożarna we Wrzącej została włączona do Krajowego Systemu Ratownictwa Gaśniczego.



Roman Wilkos został prezesem Zarządu. Dziewięć lat później, 8 maja 2010 roku w Lubuniu podczas gminnych obchodów Dnia Strażaka otrzymał najwyższe wyróżnienie strażackie - Medal Honorowy im. Bolesława Chomicza.

- Wszystkie akcje gaśnicze i ratownicze są trudne. najtrudniejsze są zawsze sytuacje, kiedy jedziemy do pożaru i nie wiemy, czy w budynku, który jest w płomieniach, są jacyś ludzie - odpowiada o swojej ratowniczej działalności pan Roman. - Uczestniczyłem w kilkunastu takich akcjach, między innymi w gorzelni we Wrzącej. Trudny był również wielki pożar lasu, z którego nam, strażakom ledwo udało się ująć przed płomieniami. Dziś, kiedy o tym myślę dopiero dociera do mnie, że życie strażaka jest ciągle zagrożone. Podczas akcji jednak o takich sprawach się nie myśli, człowiek skupiony jest wyłącznie na niesieniu ratunku.

Grzegorz Jopek, Wrząca

Ojciec (rocznik 1918) nie żyje od ponad dwudziestu lat, jednak wciąż z nami jest Anna, jego młodsza siostra, ale to zupełnie inna historia. Opowiem ją, by wyjaśnić, dlaczego przekazane przez rozmówcę z pociągu informacje muszę przyjąć z dobrodziejstwem.

Najpierw Plebańce, niewielka wieś w pobliżu Brasławia w dawnym polskim województwie wileńskim. Tuż przed wojną mieszkali w niej cztery rodziny Turków: Kazimierza, Sebastiana, Bonifacego i Antoniego. W dokumentach kościoła NMP Królowej Jezior w Brasławiu odnajduję spisana po polsku „Alfabetyczną listę wiernych 1883 - 1933”, gdzie pod datą 1883 roku widnieje nazwisko Kazimierza Turka, mojego nieznanego dziadka. Ożenił się z Julią Korotko, córką Stanisława, urodzoną w 1890 roku. Z tego związku w 1918 roku urodzili się bliźniaczy bracia Adam i Józef. Józef zginął pod Cammerau, o czym informuje „Księga poległych na Polu Chwały.” - TUREK JÓZEF s. Kazimierza, ur. 1918 r. w m. Plebańce, rej. Brasław, szer. 25 pp, poległ 3 V 1945 w m. Commerau (NRD). CAW, III-127/56, s.32.

Adam przeżył wojnę, ale zdemobilizowany w 1946 roku, nie wrócił do rodzinnej wsi, bo nie było tam Polski, mimo że w Plebańcach czekała na niego matka z młodszą siostrą Anną. Najpierw jako osadnik wojskowy objął gospodarstwo w Kocieniu Wielkim, gdzie poznał dziewczynę, z którą się ożenił, następnie przeniósł się do Objazdy, bo tu zamieszkali repatrianci, „plemiency” z okolic Brasławia. Był rolnikiem. Z matką utrzymywał kontakt listowny, wysyłał zdjęcia kolejnych córek. Szans na spotkanie nie było, granica na Bugu była nie do przekroczenia. W 1956 roku przyszła stamtąd wiadomość o śmierci matki. „Sama pracowała w polu. Pewnego razu orała ziemię, z przemęczenia upadła, dostała krwotoku i tak zakończyła swój ziemski żywot” - śmierć Julii Turek opisuje mój nowy znajomy, którego rodzina pochodzi z Plebańców.

Anna, dorosła, ale głuchoniema siostra, została tam sama. Po wielu staraniach w 1957 roku brat Adam odebrał ją na granicy w Brześciu. Plebańce pozostały mityczną krainą z pięknymi jeziorami, niedostępnym rajem wspomnień.

Anna zamieszkała z nami, w poikoiku „na górze”. Uczyliśmy się jej ję-



Anna

To było w pociągu z Gdańska do Słupska dwa czy trzy lata temu, w niedzielne popołudnie. Zadzwoił telefon, rozmówca się przedstawił nazwiskiem znanym z historii Kresów wileńskich. Osobiście go nie znałam, ba, nie wiedziałam o jego istnieniu! Zaskoczona poprosiłam o przełożenie rozmowy lub, jeśli to możliwe, o kontakt mailowy. Tak się zaczęło. Rodzinę ojca poznałam na nowo z jego relacji, wiedział więcej niż ja.

zyka, z czasem rozmawialiśmy z nią na każdy temat, wiedzieliśmy, że jej głuchota i zniekształcona mowa jest wynikiem przebytej we wczesnym dzieciństwie choroby.

Pracowała w gospodarstwie brata, świetnie radziła sobie z końmi. Zimą robiła na drutach swetry dla rodziny i znajomych. W sobotę szła do strumienia po wodę do mycia włosów. Dbała o nie, świadoma, że bujne, czarne dodają urody. O włosy dba i teraz, kiedy ma dziewięćdziesiąt jeden lat. Nigdy nie pozwoliła, by mówić do niej ciociu. Nigdy nie wyszła za mąż,

choć zdarzali się konkurenci ujęci jej urodą i pracowitością. Jest dla nas Anną, po prostu. Wszystko było proste, Anna była naszą siostrą, wcześniej siostrą-matką. Kocha nas, a my ją.

Tymczasem...

W uporządkowany świat wspomnień budowany ze skąpych ojcowskich opowieści wszedł owego niedzielnego popołudnia na trasie Gdańsk-Słupsk nowy znajomy, przynosząc zaskakujące wieści. Zaskakujące, ale bardzo prawdopodobne i wyjaśniające - na przykład - medyczne zagadki. W mailowym liście mój no-

wy znajomy napisał: „Ośmieliłem się napisać do Pani kilka słów dotyczących Plebańc. Jestem wnukiem Konstantego Chodźki, którego gospodarstwo graniczyło z ziemią Kazimierza Turka - dziadka Pani.”

Wnuk Konstantego Chodźki podaje datę śmierci mojego dziadka: „Kazimierz Turek zmarł na gruźlicę między rokiem 1930 - 33 (jak Salcia chodziła jeszcze do szkoły powszechnej); Marysia pierwsza zmarła na gruźlicę, a Anna zachorowała na zapalenie opon mózgowych i stąd te wszystkie powikłania”.

Być może tak było. Zatem dziadek zmarł w wieku 47 lub 50 lat. Młodo. Pozostawił żonę i dzieci, i zagrożenie śmiertelną chorobą. Marysia, to Mania, którą Anna często wspominała, a mój ojciec o tym milczał.

„W domu Kazimierza Turka mieszkała jego matka Justyna - bardzo wiekowa kobieta. Zawsze odmawiała Litanię do Wszystkich Świętych w ten sposób, że mówiła np. Święty Antoni, przedłuż mi życie, Święty Franciszku - daj mi dłużej pożyć itd.” - pisze znajomy nieco żartobliwie.

„Dom Kazimierza Turka był niezbyt okazały i już przed wojną zaczęto stawiać podwaliny nowego domu. Ciocia pamięta szkielet budowli, który w przyszłości miał być domem „na całą okolicę”. Kiedy przyszli Rosjanie, budowa została wstrzymana. Na gospodarstwie nie było komu tego dopilnować. Cały szkielet powoli stał się łupem sąsiadów lub też nieznanych nikomu ludzi (złodziei).”

„Jeśli się nie mylę, to Pani ojciec miał jeszcze dwie siostry, a mianowicie: Franciszkę i Marysię drugą (o tym samym imieniu, co jej zmarła wcześniejsza siostra), która chodziła do jednej klasy z moją drugą ciocią Wandą (też żyjącą). Przez trzy lata uczyły się w szkole powszechnej w Jackowszczyźnie, a później kończyły siedmiolatkę w Braślawiu. Marysia, (która uczyła się z moją ciocią Wandą) też chorowała w młodości na gruźlicę. Czasami skarżyła się Wandzie, że mama jej nie chce leczyć i żałuje pieniędzy na lekarzy. Marysia zmarła, kiedy już chodziła z Wandą do szkoły siedmioklasowej w Braślawiu. Taki sam los spotkał wcześniej jej siostrę Franciszkę.”

Jeśli chodzi o Annę, to ciocia opowiadała, jak kiedyś razem z Marysią wzięły Anię do szkoły w Jackowszczyźnie. Nauczycielka posadziła ją w ławce, dała jej kredki i ta bardzo dum-



na z siebie nawet ładnie rysowała. Z Wandą porozumiewała się gestami i belkotem, który był trochę zrozumiały. Kiedyś Wanda opowiadała Annie, że jak dorośnie to dostanie białą suknię z welonem i pójdzie z nim do ślubu ze swoim narzeczonym. Anna to wszystko rozumiała i bardzo śmiała się wtedy z tego.”

„Kiedy Anna została sama, zaopiekowała się nią rodzina Sebastiana Turka”.

Prawdopodobne. Syn Sebastiana Turka zginął nad Nysą. (TUREK GRZEGORZ s. Sebastiana, ur. 1925 r. w m. Plebańce, rej. Braśław, szer. 29 pp, poległ 16 IV 1945 r. nad Nysą. CAW, III-127/56, s. 269). Rodziny połączyła żałoba po śmierci synów.

Anna w Plebańcach została sama, mimo opieki krewnych. Brat czynił starania o jej przyjazd do Polski.

„Ciocia, będąc kiedyś w Braślawiu, dowiedziała się od moich dziadków, jak wyglądało przygotowanie Anny do podróży do Polski. Sebastian ponoć wydrążył w obcasie buta Ani otwór, do którego schowano świnki i w taki sposób dotarły one do Polski”.

Nie sposób porozmawiać z Anną o zawiłościach medycznych czy historycznych. Minęło od tamtego czasu tyle lat! Jedynie w wynikach badań wciąż pojawiają się ślady choroby.

I pojąć nie mogę tych, którzy uważają szczepienia za zagrożenie! Na wiejskiej tablicy, myślę, że nie tylko w Objeździe, i w sklepach pojawiły się niepokojące ogłoszenia, których treści nie należy bagatelizować. Opowiedziana tu historia jest tego bezspornym dowodem.

Czesława Długoszek, Objazda

Z Wikipedii:

Odkrywcą prątka gruźlicy wywołującego gruźlicę jest niemiecki uczony Robert Koch, który wyniki swoich badań opublikował 24 marca 1882 roku. W nazewnictwie polskim wspomniany drobnoustrój jest często nazywany na cześć tego bakteriologa prątkiem Kocha. Postęp nauk medycznych, który dokonał się przez następne 100 lat dawał nadzieję na całkowite opanowanie tej choroby, która od XVII wieku dziesiątkowała mieszkańców Europy. Na postęp ten składały się wydarzenia z 1921, gdy po raz pierwszy użyto u ludzi szczepionki przeciwgruźliczej (BCG) oraz z 1946, kiedy wprowadzono do leczenia gruźlicy, streptomycynę i PAS - pierwsze skuteczne leki na tę chorobę. Brak wystarczającego finansowania służby zdro-

wia spowodował zaniedbanie wielu programów zapobiegawczych gruźlicy i istnieje ryzyko nawrotu powszechnego występowania gruźlicy w Polsce. W Polsce w 2011 roku zarejestrowano 8478 przypadków gruźlicy. Współczynnik zapadalności wyniósł 22,2/100 000 ludności. W Polsce najczęstsze postacie rejestrowanej gruźlicy poza płucnej to: gruźlica zapalenie opłucnej, gruźlica węzłów chłonnych, gruźlica układu moczowo-płciowego, gruźlica kości i stawów, gruźlica opon mózgowo-rdzeniowych i mózgu. Gruźlica pozapłucna stanowi zaledwie 8,8% wszystkich przypadków gruźlicy, co prawdopodobnie jest spowodowane niezgłaszaniem przez lekarzy różnych specjalności, którzy diagnozują i leczą te postaci gruźlicy. (Cz. D.)

Wspomnienia więźnia Józefa Grzeszczaka



Gdy w październiku ub. roku przenieśliśmy się z żoną do Gdańska, w pierwszej kolejności odwiedziliśmy rodzinę Grzeszczaków mieszkającą na Morenie. Kuzyn mojej żony Kazimierz miał dla nas niepublikowane dotąd wspomnienia wojenne swojego ojca.

Józef Grzeszczak przeżył trzy kolejne niemieckie obozy koncentracyjne. Był ciotecznym bratem ojca Sylwii Grzeszczak, lubisz jej piosenki - tłumaczyła mi żona, która już od roku trzuci się nad sagą rodziny Grzeszczaków, z której sama się wywodzi. - Chciałabym te wspomnienia włączyć do swojej sagi.

Dostaliśmy ten materiał od Kazi. Jego przypuszczenia, że jednak to nie będą treści „pod pióro kobiety” się potwierdziły. Już po przeczytaniu kilku stron wspomnień Józefa Grzeszczaka moja żona trzęsącymi dłońmi podała mi go i nie ukrywając wilgoci w oczach, wyjaśniła: - Mój kuzyn miał rację, to nie dla mnie. Moja saga jest liryczną opowieścią o rodzinie, a to są tak dramatyczne opisy zbrodni wojennych i płynących z nich cierpień ludzkich, że ja tego nawet nie potrafię czytać. To wprost niewyobrażalne, jak człowiek człowiekowi mógł zgotować taką wojnę, taki los, takie życie...

No cóż, znamy z historii już prawie wszystko, co przyniosła ludzkości II wojna światowa. Sam o tym napisałem kilka książek. Te wspomnienia to jeszcze jeden, pojedynczy zapis, a

zarazem los człowieka, który przeżył przysłowiowe piekło na ziemi. Wyjątkowy i godny upowszechnienia dlatego, że jest tutejszy, gdański, i wyjątkowy także z tego powodu, że gdańszczanin ten przeżył nie jeden, ale kolejne trzy obozy śmierci.

A oto jego historia, która podobnie jak inne nam już znane, niech będzie przestrogą dla współcześnie żyjących. Niech także stanie się zadłużeniem za cierpienia człowieka, który „przeżył, by opowiedzieć o nich innym”.

„Boże czy pamiętasz?” - Zaczęło się od obozu zagłady w Stutthofie

Pomimo, iż więźniowie zdążyli się już częściowo przyzwyczaić do codziennego katowania i śmierci, drugi rok przymusowego pobytu w stutthowskim obozie zagłady, a był to rok 1940, nie zapowiadał się lepiej od pierwszego. SS-mani stosowali coraz bardziej wyrafinowane metody upodlania więźniów, zdobywając wprawę w sztuce ich torturowania i mordu.

Pilna potrzeba wybudowania domu dla SS-manów pochłaniała codziennie dziesiątki ofiar ludzkich. Głównym jej bohaterem, poza komendantem obozu Paulem, był nadzorujący budowę Neuhaner, człowiek - jeśli tak można go w ogóle nazwać - o wybitnych zdolnościach do znęcania się nad więźniami. - A nie bił długo. Wystarczyło, że uderzył raz, albo dwa razy, a to już wystarczyło, by zostać zabitym lub kaleką do śmierci.

Moim bezpośrednim nadzorcą na wyżej wymienionej budowie był SS-man Szwytkowski, zwany przez wszystkich więźniów „cieślą”. - Ten to miał jeszcze inną metodę katowania. Bił po twarzy i głowie, kopiąc jednocześnie gdzie popadło, a na zakończenie zapisywał numery więźniów do dalszej „zapłaty” na tak zwane „boki”, które to odbywały się po zakończeniu apelu wieczornego.

Wszyscy zapisani więźniowie byli wyczytywani i kolejno zmuszani do położenia się na drewnianym koźle, z obnażoną tylną częścią ciała, a SS-mani z nahajkami, względnie zwykłymi kijami, wymierzali od 25 do 50 uderzeń. Więźniów, którzy podczas

bicia tracili przytomność, polewano zimną wodą.

Pewnego jesiennoego dnia SS-mani pragnąc jeszcze przyspieszyć tempo budowy, ustawili się szpalerem z nahajami i kijami, kolejno bijąc, gdzie popadło, zbliżających się biegiem więźniów. Dzień ten zapisał się w historii obozu strasznym żniwem śmierci. Na 200 więźniów pracujących przy budowie 50-ciu zabito na miejscu, a następnych 50-ciu odniesiono na izbę chorych. Reszta z trudem dowlokła się do swoich narów.

Pragnąłbym zaznaczyć, że należałem do ludzi wierzących i podczas tego strasznego bicia wzywałem Boga na pomoc. Wspólnie z kilkoma kolegami okrutnie pobity dowlokłem się do baraku. Gdy położyłem się, o spaniu jednak nie mogło być mowy, pokaleczone ze wszystkich stron ciało nie pozwalało się poruszyć.

Prosząc Boga o wytrwałość, po dłuższych męczarniach zasnąłem i stało się. Stało się widocznie to, co było mi przeznaczonym, a mianowicie przysnił mi się obraz Pana Jezusa z otwartym sercem. Jezus stał na morskich falach, biło od Niego niebiańskie światło. - Obraz taki sam, jaki był umieszczony w głównym ołtarzu kościoła Serca Jezusowego w Gdyni.

Jęcząc z bólu, patrzyłem na obraz Pana Jezusa i zacząłem się Mu skarżyć, i wołać: „O Panie Boże, za co nas tak biją?”. Powtarzając tak kilkakrotnie, zauważyłem, że twarz i ręce Pana Jezusa zaczynają się poruszać i usłyszałem, jak Pan Jezus odzywa się do mnie: „Uspokój się. Uspokój się, już więcej bity nie będziesz”.

I uspokoiłem się natychmiast, ze złożonymi do modlitwy rękami wpatrzony w obraz Pana Jezusa. W momencie tym przeżywałem najradośniejsze chwile całego mojego życia.

Budząc się, uprzytomniłem sobie, że to był tylko sen, i starałem się nie otwierać oczu za wszelką cenę, aby ten olśniewający, cudowny widok trwał jak najdłużej. I leżąc tak w milczeniu, poczułem rękę leżącego obok mnie kolegi, który to zaniepokojony tym, że nagle przestałem jęczeć, pomyślał, że umarłem. Pociągając mnie za ramię, zapytał: „Józku! Józku co z tobą się dzieje?”. Ja na wpół przytomny starałem się nie odpowiadać, tylko patrzeć w znikający obraz pełen największej radości i szczęścia, bo czułem, że do końca życia, które zapewne dobiega końca,

tak cudownego i pięknego zjawiska oglądać już nie będę.

Gdy obudziłem się na dobre, zrozumiałem, że dotyka mnie ręka kolegi Franciszka Sokoła, byłego komisarza rządu w Gdyni. Dotyka mnie pytając: „Jak się czujesz Beniaminku?”

Odpowiedziałem mu, że dużo lepiej, ale nie jestem zdolny do żadnej rozmowy „bo tego, panie Franciszku, co przeżywałem przed chwilą, nie da się opowiedzieć”. O śnie opowiedziałem mu dopiero rano, prosząc jednocześnie, aby nikomu tego nie powtarzał, nawet naszemu koledze Kaziowi Busiukowi. Po dłuższej chwili zadumy Franciszek Sokół odpowiedział mi wtedy: „Piękne to i bardzo ciekawe. Tylko, czy się spełni?” A ja odpowiedziałem mu: „Panie Franciszku, ja ani przez chwilę nie wątpię i wierzę Jezusowi, na pewno się spełni”.

Po tym śnie dni następne, jak i ciężka praca, układały się dużo lepiej i szczęśliwiej. Do maja 1941 roku nie zostałem uderzony przez nikogo. 10 maja 1941 opuściłem Stutthof i transportem liczącym około 100 więźniów zostałem odesłany do obozu Sachsenhausen. Wśród wielu więźniów był razem ze mną Paweł Bielawa. Był on Kaszubem i mieszkał w Redzie koło Wejherowa. Znałem go jako człowieka głęboko religijnego. Jadąc transportem do Sachsenhausen opowiedziałem mu ten piękny sen, jaki miałem w Stutthofie. Bardzo mu się to podobało i wyznałem, że Paweł od tej chwili stał się jeszcze większym moim duchowym przyjacielem, kolegą.

Do Berlina i obozu Sachsenhausen przyjechaliśmy późnym wieczorem. Pamiętając zapowiedź SS-manów ze Stutthofu, że dopiero w Sachsenhausen poznamy Boga i wiedząc z opowiadań więźniów, że niektóre transporty kierowane są prosto do komór gazowych krematoriów, całą drogę prosiłem Boga o szczęśliwe dalsze losy, zapytując się Go równocześnie: „Boże czy pamiętasz?”

Z dworca do obozu jechaliśmy ciężarówkami. Do samochodu, w którym jechałem razem z konwojującymi nas SS-manami wszedł SS-man, który to przywitał nas po polsku słowami: „No polaki, chcieliście maszerować na Berlin, to teraz jesteście w Berlinie, ale w naszych rękach. My wam pokażemy Berlin!” On wygłaszał do nas tę szyderczą mowę, a ja w duchu powtarzałem: „Boże, Boże, czy pamiętasz?”

Stało się jednak trochę inaczej. Po przybyciu na miejsce, tylko niektórzy więźniowie otrzymali po kilka kopniaków za zbyt opieszale wychodzenie z samochodów. Na drugi dzień po łaźni i selekcji dostałem się wraz z Pawłem na blok nr 49. Na bloku tym było dużo Czechów, bardzo kulturalnych i dobrych kolegów.

W Sachsenhausen przydzielili mnie wraz z Pawłem do pracy na placu drzewnym. Pracowało tam już dużo księży, a wśród nich mój dobry znajomy ksiądz Wojtek Głowczewski, były kapelan ze szkolnego statku „Dar Pomorza”. Ucieszyło nas bardzo to spotkanie. Następnie Wojtek, bo tak wszyscy do niego się zwracaliśmy, zapoznał nas z rygiem, jaki panował w obozie, a ja mu z kolei opowiedziałem mój sen ze Stutthofu. Bardzo mu się on podobał i prosił wraz ze mną Boga o jego spełnienie.

Niedługo byliśmy tam razem. Po kilku tygodniach wraz z Pawłem zostałem wytypowany do drugiego transportu, który to wysyłano w góry Alzacji, gdzie miał być budowany wielki obóz kamieniołomów. Podczas transportu modląc się, pytałem znów Pana Boga: „Boże, czy pamiętasz?”

Po długiej i uciążliwej podróży w bydlęcych wagonach, po kilku dniach przybyliśmy na miejsce. Wpisano nam nowe numery. Paweł otrzymał numer 338, a ja 339. Na drugi dzień zapędzono nas do bardzo ciężkiej roboty, do rozbijania i noszenia wielkich kamieni i dowożenia ziemi. Gorące upały w górach i brak wody dziesiątkowały więźniów codziennie.

Któregoś dnia i ja poczułem, że słabnę, że opadam z sił. Na skutek ciężkiej pracy, niedożywienia i ostrego powietrza górskiego ciało moje pokryło się rozległymi wrzodami, a to z kolei zabrało mi całkowicie zdolność do pracy. Któregoś dnia, już pod sam koniec pracy, straciłem przytomność. Koledzy szybko zorientowali się i zakryli mnie przed widokiem SS-manów, którzy dobijali każdego zemdlonego więźnia na miejscu.

Wziąwszy mnie pod ręce, na wpół przytomnego przyprowadzili do obozu. Inni koledzy w tym czasie przynieśli na swych barkach ciała kilku innych zamordowanych z takiej to przyczyny więźniów. Z rozkazu komendanta obozu, Kramera ciała pomordowanych układane były na ziemi za ścianami baraków, obok nich układano więźniów wykończonych,

nie mogących wstać o własnych siłach. Więźniom tym nie wolno było udzielać żadnej pomocy, podawać picia, pokarmu.

Z izby chorych korzystać wyłącznie nie mogli więźniowie narodowości niemieckiej. Ja byłem Polakiem i jedynym moim prawem było umrzeć. Leżąc tak na ziemi całą noc, czekałem cierpliwie na śmierć. Modlić się już nie umiałem. Tylko od czasu do czasu pytałem się Pana Boga: „Boże, pamiętasz?” I tak przeleżałem noc i następny dzień. Niektórzy leżący obok mnie więźniowie doczekali się już śmierci, a do mnie tak bardzo się ona wolno zbliżała, że aż zaczynałem im zazdrościć.

Nadszedł kolejny wieczór. Kolejny raz wrócili z pracy moi koledzy. Kolejny szmat ziemi pokrył się ciałami więźniów, którzy nie wytrzymali ciężkiej harówki w kamieniołomie. Już nie tylko moje nogi, ale i cały tułów zrobił się sztywny. Poruszać mogłem jedynie rękami i głową, a odstęp między rytmicznie zadawanym pytaniem: „Boże czy pamiętasz?” stawały się coraz dłuższe.

Więźniowie byli już po kolacji. Jedni szykowali się do snu, inni spacerowali po dziedzińcu obozowym. Aż nagle mignął mi cień i obok mnie stanął człowiek. Stanął, popatrzył, ruszył do przodu, zatrzymał się i wrócił. I znów popatrzył na mnie. I zapytał wreszcie: „Józek, ty jeszcze żyjesz?” Odpowiedziałem, że żyję, a on na to: „A czemu cię na izbę chorych nie wzięli?”

- „Przecież wiesz, że noszę literę P, jestem Polakiem” - odparłem, a on na to: - „To nic, że nosisz P. Jesteś przecież z Gdańska. Ty nie bądź głupi. Już ja tam zaros do nich pójda”.

I poszedł. Po kilku minutach wrócił z dwoma moimi kolegami - Witkiem i Pawłem. Wzięli mnie na ręce i zanieśli na izbę chorych. Tam naparzyli ciepłej kawy, dostałem kilka zastrzyków, poowijali mnie ciepłym bandażami, polali zimną wodą, przykryli kocami i kazali cicho leżeć.

Po kilku dniach doszedłem trochę do siebie i zabrano mnie do strugania kartofli do kuchni.

Pragnę tu wyjaśnić, że człowiek który przechodził obok mnie i przyszedł mi z pomocą, mówił po polsku, był również więźniem i pochodził ze Śląska Górnego, mówił śląską gwarą. Był najstarszym wiekiem w kamieniołomach. On mnie znał, dowiedział się

od kolegów, że tam leżę za barakami i przyszedł, odnalazł. Dostał też pozwolenie od SS-manów zabrania mnie na izbę chorych.

Każdy z więźniów go znał i wiedział, że na imię ma Mikołaj. Ja ze swej strony, jak i Paweł z Witkiem, dziękowaliśmy mu za okazaną pomoc.

Po niedługim czasie dostałem się do pracy w garażach. Tutaj nadzorca był starszy SS-man pochodzenia polskiego, wywodzący się z Poznania. Był to człowiek starszy, zrównoważony. Polubił mnie i nie pozwolił innym SS-manom wyrządzać mi krzywdy.

W garażach pracowało nas trzech. Dwóch więźniów pochodzenia niemieckiego i ja trzeci - Polak. Praca tam była lekka, zawsze pod dachem, a i zimą cieplej, i z jedzeniem też było trochę lepiej. Mój szef garażu SS-man przywoził mi często chleb schowany pod siedzeniem w samochodzie. Każdą kromkę chleba dzieliłem wtedy na równe trzy części. Dwa kawałki zanośiłem do Pawła i Witka, a trzeci sam zjadałem. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że pewnego dnia nasz nadzorca - szef garaży wając chleb, schował jeden bochenek pod siedzenie, przyjechał do garażu i dał mi znak, abym sobie ten chleb zabrał. Zabrałem go więc i schowałem do skrytki. SS-man ubrał się w nowy mundur i pojechał do Strasburga. Po pewnym czasie podjechał inny samochód załadowany chlebem. Wyszedł z niego nadzorujący go SS-man i kazał dwóm więźniom napompować koło. A sam poszedł widocznie coś załatwić. Więźniowie ci korzystając z nieobecności kierowcy, wzięli z wozu parę bochenków chleba i schowali w garażu.

Parę minut później do garażu wpadło kilku SS-manów z psami. Nas postawili pod ścianą, przeszukali garaż, znaleźli i zabrali schowany chleb. Po długich i szczegółowych badaniach znaleźli też mój schowany tam bochenek.

SS-mani zabrali wszystkich na sąd do komendanta obozu Kramera. Ten osądził nas krótko. Wszystkich trzech do karnej kompanii w kamieniołomach, zezwalając jednocześnie SS-manom za najmniejsze przewinienie w pracy strzelać do nas. Tego samego wieczoru przeniesiono nas do baraku w kompanii karnej z naszytymi na ubraniach czerwonymi pasami.

Praca w kompanii karnej w kamieniołomach należała do najcięższych. Najsilniejsi więźniowie wytrzymywa-

li tylko parę dni. I tak pracując, znów prosiłem Pana Boga o wytrwałość, zapytując się Go równocześnie: „Boże, czy pamiętasz?”

Okolo godziny dziewiątej zjawił się w kamieniołomach SS-man Oberscharfirer. Przechodząc obok nas wywołał numer 339. Ja poderwałem się na baczność, wołając, że jestem tutaj. On podszedł bliżej, porozmawiał coś z SS-manami, następnie wyjął rewolwer z kabury i wskazując mi nim kierunek, polecił, bym szedł naprzód. Sam, idąc za mną, rozkazywał mi skrócić to w lewo, to znów w prawo i znowu prosto.

Tym niesamowitym marszem wśród różnych zarośli i olbrzymich



Fort. J. S. Smolewski

głazów z idącym z tyłu za mną SS-manem trzymającym w ręku rewolwer, kierowałem się ku kolejnemu przeznaczeniu. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, co za chwilę ze mną się stanie? Dość powiedzieć, że robiło to na mnie okropne wrażenie.

Modląc się w duchu, czekałem tylko, kiedy on do mnie strzeli, a ja padnę trupem na jedną z wąskich ścieżek kamieniołomów.

Lecz szliśmy dalej, aż doszliśmy do szerokiej drogi prowadzącej do obozu. I tu ogrom przerażenia jeszcze wzmógł się we mnie, bo przecież przy tej właśnie drodze znajdowały się wielkie, obszerne doły po wywiezionym z nich piasku. W dołach

tych SS-mani masowo rozstrzelali więźniów.

Idąc tak dalej naprzód, czekałem, kiedy SS-man wyda mi rozkaz skręcić w lewo, w kierunku najbliższego z dołów. Sądziłem z jego miny, że wolałby ze mną skończyć właśnie tam, niż na oczach więźniów. Przyspieszyłem więc kroku czując, że tracę formalnie zmysły.

Już oto jestem przy samych dołach. Już powinien mi nakazać skręcić. Minęliśmy jednak drogę. Wtem słyszę jego głos, że mam iść wolniej. Zwolniłem więc i zauważyłem, że prowadzący mnie SS-man idzie obok mnie, a rewolwer schował do kabury. Chusteczką wyciera sobie spocone czoło.

dziwo??? Z boku na krześle siedział „mój szef” garaży.

Zameldowałem się komendantowi. Ten spojrzawszy na mnie, zapytał, jak to było z tym chlebem..? - „Skąd miałeś chleb?”

Na to ja całkiem spokojnie, że chleb dostałem od kolegów, a skąd oni mieli, tego ja nie wiem.

Zerwał się wtedy komendant z fotela i jak nie wrzaśnie na mnie: „Skąd miałeś chleb?!” W tym momencie wstał również „mój szef” garaży. - „Spokojnie” - mówi do komendanta - „On mnie chroni i dlatego kłamie”. I zwraca się do mnie: „Józef, powiedz prawdę, że chleb dostałeś ode mnie. Przecież to ja ci dałem ten bochenek chleba.”

mówił? Co on mówił..?” A szef garaży wzruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział.

Zasapał się komendant i wrócił za biurko. Chwilę jeszcze patrzył na mnie, uderzając nahażą o cholewę swoich oficerskich butów, po czym zadzwonił na SS-maną, który natychmiast stanął w drzwiach gotowy do wykonania każdego jego polecenia. - „Wyprowadźcie go pod bramę obozu!” - rozkazał.

Tam pod bramą przestałem jeszcze ponad godzinę, nie mogąc ani się modlić, ani myśleć. To było za dużo przeżyć na jeden raz. Gdy zostałem zawołany spod bramy, kazano mi przejść do pobliskiego baraku, zerwać czerwone pasy z ubrania i powiedziano mi, że jestem zwolniony z kompanii karnej. Jutro pójde do innej pracy.

Tu mógłbym dodać jeszcze tylko jedno: - „Boże, jak wielki ogrom jest Twych łask.”

Jak się dowiedziałem później, szef garaży po powrocie ze Strasburga nie zastał nikogo ze swych więźniów przy pracy w garażu i zdziwiony zapytał kolegów, gdzie są jego więźniowie i co się z nimi stało? Koledzy jego SS-mani z uśmiechem mu powiedzieli, że ma wyjść na zewnątrz i popatrzeć na krematorium. Jak zobaczy czarny dym z komina, to będą właśnie jego ludzie. „Wszystkich ich wzięli, bo chleb pokradli”.

On słysząc to, poszedł do komendanta prosić o wyjaśnienie. Komendant powiedział mu to samo, co mówili koledzy SS-mani. On jednak nie poprzestał na tym i prosił komendanta o moje zwolnienie z kompanii karnej, wyjaśniając, że to nie jest możliwe, bym ukradł chleb, gdyż otrzymałem przed jego wyjazdem bochenek chleba od niego.

Słyszając o tym, że SS-man dał bochenek chleba więźniowi, komendant wzburzył się okropnie, powiedział nawet, że ma do siebie pretensje, że wydał tylko taki łagodny wyrok.

Komendant nie chciał odwołać swojej decyzji i dopiero gdy on stanowczo zażądał, żeby go wysłał na front, jeśli kłamie, kazał mnie z powrotem przyprowadzić do siebie. Na moją dalszą pracę w garażu jednak się nie zgodził. - „Zwolnię z kompanii karnej, ale do garażu już go nie dostaniecie!” - wykrzyczał „mojemu” SS-manowi. (cdn.)

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz



Gdy zobaczył, że się odwróciłem w jego stronę, zapytał czy ja wiem, gdzie mnie prowadzi? Ja odpowiedziałem, że nie wiem. Na to on mi odpowiedział: „Twój opiekun przyjechał. Idziesz do komendanta i zameldujesz mu się”.

Zaskoczyło to mnie ogromnie. Co za opiekun? Skąd opiekun? Czy to możliwe? Polak i więzień w dalekich górach Alzacji. To widocznie jakiś nowy kawał SS-mański.

Doszliśmy do obozu. Otworzono nam drzwi do biura komendanta. Wchodząc do środka, ujrzałem siedzącego za biurkiem komendanta Kramera z cygarem w zębach. Na biurku jak zwykle leżała nahaża i o

Struchlałem. Tego już komendant nie wytrzymał. Jak nie chwyci za nahażę, jak nie skoczy do mnie. - „Ty podły psie! Będziesz okłamywał komendanta?! Ty wiesz, co ci grozi, ty polska świnió?!” - Zaniemówiłem z przerażenia, raz że nie wiedziałem, co powiedzieć, a po drugie, że lada moment spadnie mi na plecy nahaża z wysoko podniesionej ręki komendanta.

Zamiast odpowiedzieć komendantowi, jakimś nadludzkim głosem wydobyłem z siebie: - „Boże mój, czy pamiętasz?!” - Komendant opuścił rękę z nahażą i słysząc jakieś niezrozumiałe dla siebie słowa, skierował pytanie do mojego nadzorca: - „Co on

Rak szlachetny – czy zdążymy?

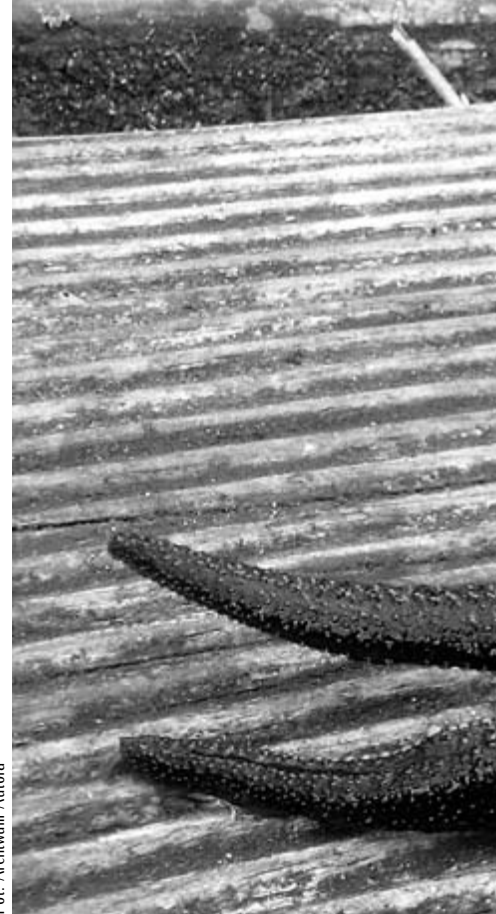
Przez długie wieki raki rzeczne tak licznie zasiedlały wody Rzeczypospolitej, że Polska, obok Rosji, była najbardziej zasobnym w nie krajem Europy. Występowały na całym terytorium niemal do końca XIX wieku, stanowiąc jeszcze do niedawna cenne źródło białka i dewiz. Obecnie raki rzeczne są na wymarciu.

Rak szlachetny - zwany także rakiem rzecznym, krótkoszczypcowym lub szewcem to nasz największy skorupiak, osiągający trzydziści centymetrów długości. Dożywa ponad dwadzieścia lat. Jego ciało pokryte jest skorupą spełniającą funkcję zbroi. Oprócz pancerza wyposażony jest w groźnie wyglądającą broń - szczypce. Pomimo tego niepokojącego wyglądu pod pancerzem kryje się bardzo delikatny i wrażliwy organizm. Rak szlachetny jest reliktem okresu polodowcowego. Dlatego także obecnie najbardziej odpowiadają mu wody czyste, niezbyt bogate w roślinność, chłodne i natlenione. Jego wrażliwość na zanieczyszczenia powoduje, że możemy go uważać za bioindykatora - wskazującego czyste wody. Będąc wszytkożernym pełni w naszych wodach przede wszystkim funkcje sanitarne - odżywia się świeżą padliną, choć głównym jego pokarmem są rośliny wodne. Niestety, ten cenny skorupiak znajduje się w kraju na wymarciu, a za jego tragiczną sytuację odpowiada człowiek. Z ponad siedmiuset pięćdziesięciu znanych miejsc poławiania raków na Pomorzu zostało tylko około dwadzieścia osiem. Przy czym rak szlachetny jest gatunkiem częściowo chronionym i jego odławianie jest zabronione.

Głównymi czynnikami, które doprowadziły raki krótkoszczypcowe na skraj wymarcia są: sprowadzona do Europy dzuma racza, inwazja obcych gatunków raków i innych zwierząt, niszczenie siedlisk, nadmierna eksploatacja oraz niewłaściwe zarybienie i gospodarka rybacka. Dzumę raczą wywołuje pierwotniak należący do typu łęgniowców. Choroba jest śmiertelna dla wszystkich europejskich gatunków raków, a jej nosicielami są gatunki amerykańskie. Pasożyt ten przybył do

Europy z Ameryki Północnej, prawdopodobnie z wodami balastowymi statków w 1860 roku do Włoch i stamtąd rozprzestrzenił się po Europie, dzieląc populację rodzimych raków. Pierwotniak osadzając się na pancerzu, przerasta go strzępkami i wrasta do środka ciała. U gatunków raka pręgowatego i sygnałowego, pochodzących z Ameryki, wzrost strzępek ogranicza się do ich pancerza, nie penetrując organów wewnętrznych i nie powodując śmierci raka. Objawami choroby są postępujący paraliż, odrzucanie odnóży i wychodzenie na łód. Może też być widoczna część strzępki. Nie jest znany żaden sposób leczenia.

Konsekwencją masowego wymierania raków krótkoszczypcowych, na skutek dzumy raczej, była chęć zastąpienia gatunków rodzimych gatunkami północnoamerykańskimi, odpornymi na tę chorobę. Taką genezę ma na przykład przybycie do nas raka pręgowatego - groźnego gatunku inwazyjnego, który w 1890 roku sprowadził z Pensylwanii do swojego majątku w Barnówku (woj. zachodniopomorskie) Max von dem Borne - niemiecki hodowca, pionier w hodowli ryb. Około stu osobników raka pręgowatego wpuścił do stawu o powierzchni około tysiąca metrów kwadratowych, położonego nad rzeką Myślą, skąd ten rozprzestrzenił się bardzo szybko po wodach Polski i Europy. Dzięki silnej ekspansji terytorialnej, cechującej ten gatunek, rak amerykański przesuwając swoje granice bytowania około dwadzieścia kilometrów rocznie i obecnie występuje już powszechnie na naszym kontynencie. Uznany za gatunek inwazyjny stanowi wielkie zagrożenie na skutek potencjalnego nosicielstwa dzumy oraz zdolności wypierania raków szlachetnych z ich stanowisk na



Fot. Archiwum Autora

drodze konkurencji międzygatunkowej (szybszy wzrost, większa płodność, lepsze dostosowanie się do niekorzystnych zmian środowiska). Nie dość tego, w kolejce do kolejnych „inwazji” stoją inne gatunki północnoamerykańskie, na przykład rak sygnałowy, którego naturalne stanowiska stwierdzone są już w wodach otwartych Polski (dorzecze Wieprzy) oraz raki sprowadzane do hodowli akwarystycznych, dostępne w sklepach zoologicznych (luizjański, florydzki, marmurkowy i wiele innych). Poza obcymi gatunkami raków zagrażają mu też inne inwazyjne gatunki zwierząt, zwłaszcza norka amerykańska.

W czasach, w których raki szlachetne bardzo licznie zasiedlały wody Europy, zanieczyszczanie środowiska, regulacja rzek, opryski środkami chemicznymi nie miały takiego znaczenia, jak obecnie. Dziś nieprzemyślana i źle wykonana regulacja cieków, będącego ostoją raka może spowodować jego ustąpienie. Raki rzeczne prowadzą nocny tryb życia, w ciągu dnia szukają schronienia w kryjówkach wśród korzeni drzew, roślinności wodnej czy w wykopanych norach. Dlatego źle znoszą prostowanie i umacnianie brzegów cieków, zubażające istniejące warunki siedliskowe. Szkodzi im także wzrost żyzności wody prowadzący do eutrofizacji. Duże niebezpieczeństwo stanowią opryski chemiczne stosowane do ochrony upraw rolnych lub lasów. Substancje



w nich zawarte docierając do wód będących ostoją „szewców” stanowią dla nich śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przez długie wieki raki rzeczne tak licznie zasiedlały wody Rzeczypospolitej, że Polska, obok Rosji, była najbardziej zasobnym w nie krajem Europy. Występowały na całym terytorium niemal do końca XIX wieku, stanowiąc do jeszcze niedawna cenne źródło białka i dewiz. Przy braku źródeł zbytu, dochodziło do sytuacji, że odłowione raki wywożono na pola, gdzie je palono, a popiół służył jako nawóz. Na odłowy nie obowiązywały żadne pozwolenia. Przybliżonym obrazem zmian wielkości populacji raków szlachetnych, dominujących w krajowych połowach, jest wielkość eksportu, na który przypadało 99 proc. złowionych okazów. W 1927 roku wyeksportowano 611 ton, w 1938 - 73 tony, w 1952 - 84 tony raków. Od 1970 roku połowy nie przekraczały 10 ton i nadal spadały. Współczesne odłowy, włączając w to połowy kłusownicze, nie przekraczają jednej tony. Znaczna część poławianych raków szlachetnych wykorzystywana jest do celów restytucyjnych.

W wielu wodach, nie mających połączenia z systemami rzecznyymi, które stanowiły ostoje raków szlachetnych, prowadzono też niewłaściwą gospodarkę rybacką, powodującą ustąpienie tych skorupiaków. Na przykład zarybianie niewielkich powierzchniowo jezior i stawów węgorzem stanowi dla

raków śmiertelne zagrożenie. Węgorz - choć jest naszą rodzimą rybą również zagrożoną wymarciem - nie był nigdy naturalnym elementem ichtiofauny wód zamkniętych, gdyż nie miał naturalnych dróg wodnych, by się tu dostać.

Dynamika spadku liczebności stanowisk raka szlachetnego wykazuje, że sama ochrona gatunkowa polegająca na rezygnacji z odłowów, okazuje się nieskuteczna. Dlatego Pomorski Zespół Parków Krajobrazowych przystąpił do realizacji projektu „Czynna ochrona raka szlachetnego w jeziorach Pomorskiego Zespołu Parków Krajobrazowych”. Jest on efektem wieloletnich badań i doświadczeń związanych z sytuacją raka szlachetnego w naszym regionie oraz współpracy PZPK z Uniwersytetem Szczecińskim w zakresie czynnej jego ochrony. Realizowany od 2014 roku projekt koncentruje się na dokładnej inwentaryzacji wód i wytypowaniu zbiorników spełniających kryteria skutecznej restytucji raka szlachetnego na terenie pięciu parków krajobrazowych województwa pomorskiego (Wdzydzkiego, Zaborzkiego, Kaszubskiego, Trójmiejskiego, Doliny Słupi), analizach genetycznych ocalałych populacji pod kątem ich wewnętrznego zróżnicowania i wyboru najkorzystniejszych do restytucji osobników, hodowli materiału zarodkowego i jego introdukcji do wytypowanych wcześniej wód oraz na działaniach informacyjno-edukacyjnych.

O ile trzy pierwsze działania mogą prowadzić jedynie fachowcy dysponujący niezbędnym doświadczeniem, o tyle czwarte wymaga szerokiego włączenia się lokalnych społeczności i instytucji mających realny wpływ na sytuację raków w naszym regionie.

Działania informacyjno-edukacyjne mogą w dużym stopniu decydować o sukcesie projektu. Okazuje się bowiem, że upowszechnienie wiedzy o raku i jej wykorzystanie w praktyce ma znaczenie decydujące w skutecznej i stałej restytucji - czyli przenoszeniu osobników z miejsc występowania populacji do miejsc, które po starannym wyselekcjonowaniu dają gwarancję trwałego bytowania raka szlachetnego na nowo powstałym stanowisku. Taki właśnie jest najsukcesowniejszy sposób jego ratowania. W związku z tym każdy z nas powinien nauczyć się rozróżniania rodzimych raków od obcych (inwazyjnych), nigdy nie przenosić ich ze zbiornika do zbiornika, nie wypuszczać raków hodowanych w akwariach do wód otwartych, orientować się w metodach przenoszenia dżumy raczej i ochrony przed tym patogenem, korzystać tylko ze sprawdzonego i bezpiecznego materiału zarybieniowego posiadającego świadectwa weterynaryjne oraz umiejętnie stosować środki chemiczne i wspierać działania służące ochronie wód i poprawie ich jakości.

Marcin Miller, Słupsk

Ostatni polski transatlantyk



W kwietniu br. minęło 28 lat od zakończenia służby przez „Stefana Batorego”, a w przyszłym roku obchodzić będziemy 65. rocznicę wodowania statku, który (choć powstał w Holandii) wszedł do morskiej historii Polski, jako nasz dziewiąty i ostatni transatlantyk.

Liniowiec zaprojektowano w 1949 roku, jako tzw. „Kombi-Schiff” (połączenie frachtowca z „pasażerem”). Z początku miał nazywać się „Diemerdiijk”. Powstał jako statek pasażersko-towarowy, przeznaczony do obsługi połączeń regularnych. Po rejście próbnym, rozpoczętym 15 lipca 1952 roku, statek został przy rotterdamским Nabrzeżu Wilhelminy przekazany do służby pod znakiem HAL-u, jako czwarty w jego długiej historii „Maasdam” - radiowy sygnał rozpoznawczy Papa Foxtrott Quebec Romeo. Był siostrzanym statkiem turbinowca „Rijndam”. Obie „siostry” różniły się ilością okien w salonach: „Maasdam” miał ich dwa razy po trzy, a „Rijndam” - dwa i cztery. Oba statki miały szczególnie smukłe kominy typu „Strombos Aerofoil”. Po raz pierwszy komin takiego typu otrzymał w 1950 roku francuski statek „President de Cazalet”. Konstrukcja odznaczała się opływowymi liniami i znakomicie odprowadzała spaliny z kotłowni, nie powodując zadymienia pokładów

statków. Obie „siostry” miały w rufowej części pokładu spacerowego zewnętrzny basen kąpielowy. W sezonie zimowym mogły pływać na wycieczki w cieplejsze rejony świata. Jednak oba spore rozmiarami miały jeden wspólny problem - powstały na kadłubach seryjnych frachtowców i przy ich projektowaniu nie poświęcono zbyt wielkiej uwagi sprawie eliminacji przechyłów bocznych w gorszej pogodzie. Dopiero w roku 1955 turbinowiec „Maasdam” otrzymał - jako pierwszy „pasażer” pod znakami NASM - stabilizatory przeciwpzechyłowe systemu Denny-Brown. Warunki podróżowania na transatlantyku znacznie się wtedy poprawiły. W roku 1961 turbinowe „siostry” przeszły modernizację pomieszczeń pasażerskich. Przebudowano 24 kabiny klasy turystycznej na pokładzie głównym na pomieszczenia luksusowe. Ilość miejsc w klasie turystycznej spadła wtedy do 822. Modernizacji uległy też salony pierwszej klasy; pojawiły się w nich urządzone ze smakiem bary.

Różne niebezpieczne przygody

Dziesiątego grudnia 1952 roku turbinowiec „Maasdam” zderzył się na sławnej Nieuwe Waterweg z małym, ledwie 286-tonowym zbiornikowcem niemieckim „Ellen”, który zatonął wraz z sześcioma członkami załogi. Sam „pasażer” wyszedł z kolizji bez szwanku. W trzecim dniu października 1954 roku, podczas wychodzenia z portu w Nowym Jorku, nasz „Maasdam” zderzył się we mgle z frachtowcem „Tofevo” spod znaku Transport Océaniques. Uszkodzeniu uległ dziób „pasażera”, oba statki skierowano z powrotem do Nowego Jorku na remonty.

Kolejną niemiłą przygodą „Maasdamy” była kolizja z własnym nabrzeżem w Rotterdamie; w jej wyniku uszkodzony został kadłub „pasażera” w części dziobowej, na szczęście nad linią wodną. 15 lutego 1963 roku, podczas wchodzenia do Bremerhaven, „Maasdam” zderzył się koło latarniowca „Weser” z wrakiem brytyjskiego frachtowca „Harborough”.

Niewiele wcześniej „idąca” kra lodo-
wa poprzysuwała znaki nawigacyjne,
co doprowadziło do kolizji. Tym ra-
zem statek przechylił się dość znacznie
na jedną z burt, ponieważ do podziur-
awionego kadłuba dostała się spora
ilość wody zza burty. Na wszelki wy-
padek kierownictwo „Maasdam” za-
leciło ewakuację pięciuset pasażerów
ze statku w łodziach ratunkowych.

Od 7 stycznia do 3 kwietnia 1968
roku szesnastoletni wówczas „Maas-
dam” odbył swój ostatni rejs pod flagą
HAL-u. Była to podróż wokółziem-
ska. Następnie statek miał powrócić
do stałej pracy na swojej linii kanadyj-
skiej, ale 15 maja dyrekcja HAL-u po-
dała do wiadomości, iż turbinowiec
został sprzedany Polskim Liniom
Oceanicznym z Gdyni. 20 września
1968 roku czwarty „Maasdam” po raz
ostatni wyszedł z portu w Montrealu
pod flagą HAL-u, biorąc kurs na Eu-
ropę. 29 września zawinął do Rotter-
damu, a wkrótce potem obrał kurs na
Gdynię w Polsce, gdzie miał najpierw
przejąć adaptację do potrzeb nowego
armatora.

Jak „Maasdam” zmienił się w „Stefana Batorego”

Ósmego października 1968 ro-
ku „Maasdam” został formalnie prze-
kazany PLO w Gdyni. Pod flagą tego
(o rok starszego od statku) armatora
liniowiec otrzymał imię „Stefan Ba-
tory”. Był to ukłon armatora w stro-
nę sławnego poprzednika nowego
„pasażera”, i kolejny ukłon Polski w
stronę jednego z jej władców, księ-
cia Siedmiogrodu Stefana Bathory-
’ego (1533 - 1586). Przeprowadzony
do Polski statek został znacznie prze-
budowany przez Gdańską Stocznię
Remontową. Komin „holendra” ty-
pu „Strombos” został zastąpiony no-
wocześniejszym, nad zmodernizowa-
nym mostkiem pojawił się nowy
maszt, a urządzenia przeładunkowe
w postaci bomów zastąpiły dwa żura-
wie z napędem elektrycznym. Kadłub
i nadbudowy statku ustrojono w bar-
wy PLO. Znacznie zmodernizowano
pomieszczenia dzienne liniowca, na
przykład niegdyśjszy „Palm Court”
zmienił się w zupełnie nowy Wielki
Salon. Generalny remont i przebu-
dowa objęły także maszyny i kotły
statku, instalację elektryczną. Radio-
wy sygnał wywoławczy nowego (de
facto ostatniego) polskiego liniowca
brzmiał: Sierra Papa Yankee Mike.

Zmodernizowany transatlantyk
miał pływać na linii Gdynia-Kopen-
haga-Rotterdam-Londyn-Montreal-
Southampton-Rotterdam-Kopen-
haga-Gdynia. 11 kwietnia 1969 roku
liniowiec uroczyście wyruszył w swą
pierwszą podróż w nowych barwach z
Gdyni do Montrealu. Po drodze zawi-
nięto m.in. do Kopenhagi (która - po-
dobnie jak dla włoskiego poprzedni-
ka - stała się z czasem „drugim portem
macierzystym” liniowca), do Rotter-
damu, Tilbury i Quebecu. W swoim
dawnym porcie macierzystym były
„Maasdam” zrobił kolosalne wrażenie.
Jak niesie wieść - zarząd HAL-u
zamierzał podobno odkupić zmoderni-
zowany nie do poznania statek i na
powrót wcielić go do służby pod zna-
kiem NASM.

Średnie obłożenie „Stefana Ba-
torego” w pierwszych dziewięciu rej-
sach sięgało 93 proc. - głównie za
sprawą Polonii amerykańskiej, która
nie mając wtedy do dyspozycji bezpo-
średnich połączeń lotniczych między
USA i Polską - pływała w obie strony
na „swoim” statku. Po zakończeniu
pierwszego sezonu statek ponownie
trafił do stoczni, gdzie przeprowa-
dzono kolejny etap modernizacji jego
wnętrz. Wymieniono znaczną część
umeblowania, a w dawnej pierwszej
ładowni urządzono salę kinowo-wi-
dowiskową na 280 miejsc. Poza sezo-
nem statek pływał z turystami na wy-
cieczki. W październiku 1977 roku
wyczarterowano go tour-operatorowi
niemieckiemu TUI. W 1983 linio-
wiec został sprzedany gdyńskiemu
Towarzystwu Okrętowemu, w 1985
pokonał 131 razy Ocean Atlantycki i
136 razy popłynął z turystami na wy-
cieczki. W 1987 roku na dawnym tur-
binowcu „Queen Elizabeth 2” wymie-
niono napęd na diesla. „Stefan Ba-
tory” był odtąd ostatnim oceanicz-
nym liniowcem pasażerskim o napę-
dzie parowym. W tym samym roku
podano do publicznej wiadomości
zamiar wycofania statku z eksploata-
cji w marcu 1988 roku.

Siódmego października 1987 ro-
ku turbinowiec wyruszył w ostatni
rejs okrężny na swej podstawowej li-
nii Gdynia-Montreal. 26 marca 1988
roku odstawiony został w Gdyni „na
sznurek”. Szóstego kwietnia 1988 ro-
ku na statku po raz ostatni opuszczono
polską banderę handlową i flagę
PLO. Prasa polska donosiła: „Król
zdejmuje koronę”, „Ambasador udaje
się na złom”. Ale...

do złomowania statku było jeszcze daleko.

W maju 1988 roku były trans-
atlantyk został sprzedany grecko-pol-
skiej firmie Hellenic Polish Shipping
Ltd. z siedzibą w Pireusie. 26 czerw-
ca liniowiec odstawiono „na sznurek”
we Vlissingen. 11 listopada (w 70.
rocznicę odzyskania niepodległości
przez RP) dawnego „Stefana Batorego”
sprzedano firmie Erne Compania
Maritima SA z Panama (bandera pa-
namska). 13 listopada 1988 roku sta-
tek przybył do Pireusu. W 1989 daw-
ny transatlantyk sprzedano firmie
City Shipping International Inc., Na-
ssau. (Stena Line, Göteborg). Statek
otrzymał nową nazwę: „Stefan” (ban-
dera szwedzka, następnie panamska).

Jako „Stefan”

Pierwszego lutego 1990 roku
dawny liniowiec przybył do Göte-
borga i został tam ustawiony, jako
przejściowe miejsce zamieszkania dla
potencjalnych azylantów, przybywa-
jących do Szwecji. W 1991 sprzedano
go firmie C-ia Maritima SA z Nassau,
W-y Bahama. Latem dawny trans-
atlantyk po raz kolejny „wystąpił”
przed kamerami filmowców. Włosko-
francuska ekipa wykorzystała sławny
turbiniowiec w swoim obrazie, jako
statek „Las Delicias”. W sierpniu 1991
roku tego roku statek powrócił na ho-
lu do Pireusu, gdzie planowano prze-
budować go na nowoczesny wyciecz-
kowiec. Niestety plany te wkrótce
zarzucono ze względu na wiek byłego
liniowca. 17 grudnia dawny turbino-
wiec po raz kolejny odstawiono „na
sznurek” - tym razem w greckim Pi-
reusie. W 1992 roku statek sprze-
dano firmie Tony Travel & Agency, Na-
ssau, W-y Bahama. 3 lipca przybył do
Zatoki Perama w Grecji, celem posta-
wienia „na sznurku”. W grudniu 1996
roku dawny transatlantyk doznał po-
ważnych uszkodzeń wskutek wyrzu-
cenia na brzeg. 31 grudnia 1997 roku
u Lloyd’a podano do wiadomości, że
statek nie zostanie wyremontowany.

W roku 2000 turbinowiec sprze-
dano na złom firmie Kalkavanlar
AS, Aliaga w Turcji. 22 marca daw-
ny transatlantyk przybył do Aliagi
na złomowanie, 24 marca statek wy-
sztrandowano na plażę. Cięcie byłego
liniowca zakończono przed koń-
cem 2000 roku.

Wojciech M. Wachniewski
Ślupsk



Doświadczeni – nie straceni

W tym cyklu artykułów będę chciał zapoznać czytelników z internetową „wiedzą tajemną”, rozszyfrować i obalić mity na temat działalności w sieci.

Podczas wielu spotkań z osobami w różnym wieku nie omija mnie pytanie: jak sobie poradzić z pędzącym czasem? Dopiero był poniedziałek, a już jest piątek, sobota... Dopiero świętowaliśmy Nowy Rok, a już mamy Wielkanoc. I tak biegnie nam rok za rokiem. Technika tak przyspieszyła, że człowiek nie nadąza za wszystkim. Pomimo ogólnego dostępu do komputera, wiedza o jego możliwościach i kreowaniu naszego życia poprzez sieć, dla wielu jest niedostępna. Boimy się albo nie wiemy, jak skorzystać z rozliczania podatku przez internet, z podpisu elektronicznego, zakupów w hurtowni itp. Często też słyszę: ten komputer to dla młodych, gdzież nam mierzyć się z elektroniką? Co dziwniejsze, moje dzieci, które wychowały się na komputerze, o możliwościach e-learningu, e-marketingu czy e-biznesu, też właściwie nic nie wiedzą. Owszem, różnego rodzaju gry, portale społecznościowe i wszechobecny Facebook oraz You Tube, stały się codziennością. Problemy, z jakimi się spotykamy, rozwiązuje „wujek Google”, a pomagają mu „ciotka Wikipedia”. Przestaliśmy nawet sprawdzać, czy podane informacje są prawdziwe i kompletne. Codziennie jesteśmy bombardowani tak wielką dawką nowości i sensacji, że czasami nie zwracamy uwagi na rzeczy ważne. Dla przykładu, dużą popularnością cieszą

się strony z „wiedzą bezużyteczną”, „zakręcone rzeczy w sieci” itd.

Nie neguję takiej formy spędzania czasu, przecież każdy posiada inną receptę na odpoczynek. Jeżeli taka forma relaksu jest odpowiednia, to dobrze, lecz dlaczego nie poznać także innych, bardzo ciekawych form pracy z komputerem? Chciałbym, aby temu cyklowi artykułów, który rozpoczynam, towarzyszyła myśl przewodnia: „doświadczeni - nie straceni”. Uważam, że nigdy nie jest za późno, aby nauczyć się czegoś nowego. Wiedza stała się tak powszechnie dostępna, a jednocześnie tak trudno ją przyswoić. Przelatujemy wzrokiem po kolejnych stronach i tylko tzw. „krzyczące tytuły” typu „kołdra, która czai się na moje życie”, zatrzymują naszą uwagę. Przyzwyczailiśmy się do szybkich i głośnych reakcji i błyskających neonów. Nasza podświadomość oczekuje od nas natychmiastowych wyników. Ten cykl artykułów pomoże zmienić tok takiego myślenia.

W dzisiejszych czasach osoba 40+ ma na ogół ustabilizowane życie. Jest w trakcie realizacji kariery zawodowej, ma założoną rodzinę, częstokroć finalizuje swoje plany finansowe. W tym okresie następuje też zapotrzebowanie na nowe wyzwania. Z ich realizacją jest różnie, to zależy od człowieka. Przyczyny są wielorakie, od zwyczajnego lenistwa,

braku wytrwałości w realizacji postanowienia, braku podstawowej wiedzy z danego zakresu po niechęć do prośzenia o pomoc. Jak trudno zapytać młodzież o wyjaśnienie: jak to działa, jak to zrobić? Hamulcem jest często obawa przed śmiesznością i utratą dumy rodzica. Jakże często te obawy zamykają nam drogę do wielu ciekawych projektów. Z drugiej strony, jak popatrzymy na pracę informatyków, programistów i innych osób z cyberprzestrzeni, od razu się wycofujemy. Znowu pojawia się przeświadczenie: gdzież my do tego wszystkiego, to dla



Jedną z zasad rozmowy internautów jest używanie sformowań bezpośrednich „per Ty”. Owszem, są wyjątki od tej reguły, lecz zazwyczaj zwracamy się do drugiej osoby: „weź to, mówię Tobie, informuję Ciebie”. Jeżeli spotkacie się (celowo użyłem tego zwrotu) z taką formą, potraktujcie ją jako normalność. Publikując artykuły w Internecie też używam takiej formy; nie dlatego, że nie szanuję swojego czytelnika, lecz dlatego że taka jest przyjęta zasada. Kolejną radą jest zwrócenie szczególnej uwagi na zamieszczane przez nas informacje w Internecie. Pamiętajmy, że to co umieścimy na stronie zostaje tam zachowane i nigdy nie wiadomo, kto może dotrzeć do tej informacji i w ja-

dr Mirosław Betkowski
miroslaw.betkowski@gmail.com

Sąd Najwyższy 12 października 2001 roku, po rozpatrzeniu zapytania prawnego przedstawionego przez sąd niższej instancji: „Czy do składników szkody, powstałej na skutek koli-

zji pojazdów samochodowych, za którą odpowiedzialność z tytułu umowy ubezpieczeniowej odpowiedzialności cywilnej ponosi zakład ubezpieczeń, zalicza się utratę wartości handlowej naprawionego samochodu, spowodowaną stosowaniem przez autoryzowane warsztaty naprawcze technologii nie w pełni pozwalającej na przywrócenie pierwotnego stanu pojazdu, tj. sprzed kolizji?” podjął uchwałę o następującej treści: „Odszkodowanie za uszkodzenie samochodu może obejmować oprócz kosztów jego naprawy także zapłatę sumy pieniężnej, odpowiadającej różnicy między wartością tego samochodu przed uszkodzeniem i po naprawie” (sygn. akt III CZP 57/01).



W uzasadnieniu uchwały można przeczytać m.in., że rzecz zawsze ma taką wartość majątkową, jaką może osiągnąć na rynku. Z przepisu art. 361 § 2 k.c. wynika obowiązek pełnej kompensacji szkody. Wartość samochodu po jego naprawie to nic innego jak jego wartość rynkowa. Ponieważ wartość ta w wyniku uszkodzenia, choć później wyeliminowanego, zmalała w stosunku do tej, jaką pojazd ten miałby na rynku, gdyby nie został uszkodzony, to kompensata powinna obejmować nie tylko koszty naprawy, ale także tę różnicę wartości. Odszkodowanie za uszkodzenie samochodu może obejmować oprócz kosztów jego naprawy także zapłatę sumy pieniężnej, odpowiadającej różnicy mię-

dzy wartością tego samochodu przed uszkodzeniem i po naprawie.

Reasumując, Sąd Najwyższy w wyżej wskazywanej uchwale stwierdził, iż wprowadzcie samochód po naprawie odzyskuje sprawność techniczną, jednakże nie uzyskuje takiej wartości handlowej jak przed wypadkiem (jego cena sprzedażowa po naprawie maleje na skutek faktu, że jest powypadkowy). Różnica tej wartości stanowi różnicę handlową, której w świetle powyższej uchwały mogą domagać się poszkodowani właściciele pojazdów.

Jak istotną rolę w pełnej kompensacji szkody odgrywa roszczenie z tytułu utraty wartości handlowej pojazdu, podkreśla fakt, iż organ nadzoru, Komisja Nadzoru Finansowego, w przyjętych 16 grudnia 2014 roku Wytycznych dotyczących likwidacji szkód z ubezpieczeń komunikacyjnych, mających na celu wskazanie oczekiwań nadzorczych w zakresie ostrożnego i stabilnego zarządzania obszarem likwidacji szkód z ubezpieczeń komunikacyjnych, w tym ryzykiem związanym z tym obszarem, zaprezentowała wytyczną nr 21, która brzmi: „Zakład ubezpieczeń powinien, przy ustalaniu wysokości świadczenia z umowy ubezpieczenia OC posiadaczy pojazdów, uwzględnić utratę wartości handlowej pojazdu, w przypadkach, w których utrata taka nastąpiła”.

Kompensata powinna obejmować nie tylko koszty naprawy, ale także tę różnicę wartości.

W praktyce działalności zakładów ubezpieczeń, niezależnych rzeczoznawców samochodowych oraz biegłych sądowych przy szacowaniu wysokości utraty wartości handlowej pojazdu najczęściej korzysta się z instrumentów technicznych lub też programów komputerowych, które pozwalają na oszacowanie tej utraty na podstawie uśrednionych danych dotyczących cen pojazdów i odpowiednich wzorów matematycznych. Najczęściej w praktyce obrotu stosuje się Instrukcję określania rynkowego ubytku wartości pojazdów nr 1/2009 z 12 lutego 2009 roku, zatwierdzoną 12 lutego 2009 roku uchwałą Zarządu Głównego do stosowania w Stowarzyszeniu Rzeczoznawców Samochodowych. Od tego dnia, na wniosek Rzecznika Ubezpieczonych, Stowarzyszenie EKSPERTMOT wprowadziło nowe zasady określania rynkowego ubytku wartości pojazdów. W

Instrukcji wprowadzono m.in. zapisy wskazujące wprost, iż rynkowy ubytek wartości szacuje się dla samochodów osobowych i terenowych, utrzymanych w dobrym stanie technicznym, o okresie eksploatacji do 6 lat, motocykli do 3 lat, samochodów ciężarowych o dopuszczalnej masie całkowitej do 3,5 tony do 4 lat, pojazdów ciężarowych o dopuszczalnej masie całkowitej powyżej 3,5 tony do 3 lat. Przy czym, jak zostało wskazane w Instrukcji, występowanie ubytku wartości po przekroczeniu tych okresów może mieć miejsce w wyjątkowych przypadkach eksploatacji pojazdu, charakteryzujących się niewielkim przebiegiem i szczególną dbałością o stan techniczny.

Warto zwrócić uwagę, że Instrukcja przewiduje wyjątkowo wypłatę rynkowego ubytku wartości pojazdu w przypadku drugiej kolizji. Jeżeli rozmiar drugiej kolizji jest znacznie bardziej rozległy niż kolizji pierwszej, należy oddzielnie obliczyć utratę wartości handlowej dla każdej z kolizji. Jeśli indywidualny ubytek dla drugiej kolizji jest większy niż dla pierwszej, to określony ubytek dla kolizji drugiej należy pomniejszyć o wartość ubytku dla kolizji pierwszej. Co ważne, w przypadku braku możliwości pozyskania informacji dotyczących zakresu pierwszej kolizji, należy odstąpić od szacowania utraty wartości handlowej dla kolizji drugiej.

Jeżeli zakład ubezpieczeń nie uwzględni - wbrew Wytycznym Komisji Nadzoru Finansowego - w wypłaconym odszkodowaniu roszczenia z tytułu utraty wartości handlowej, mimo iż ono przysługuje, należy wezwać zakład ubezpieczeń do wypłaty takiego roszczenia. Jeżeli zakład ubezpieczeń nie ustosunkuje się do tego wezwania lub jego stanowisko wyda się komuś błędne, osoba poszkodowana powinna złożyć reklamację w tym zakresie, najlepiej popartą wyceną roszczenia z tytułu utraty wartości handlowej sporządzoną przez rzeczoznawcę samochodowego. W sytuacji nieuwzględnienia reklamacji lub niewykonania czynności wynikających z reklamacji rozpatrzonej zgodnie z wolą zgłaszającego reklamację, można złożyć wniosek o rozpatrzenie sprawy przez Rzecznika Praw Konsumenta lub Rzecznika Finansowego.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik
Konsumentów w Słupsku



II FESTIWAL
WSPÓŁCZESNEJ
PIOSENKI
WIEJSKIEJ

STRZYŻYNO, LIPIEC 2016



